

zdarzenia

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

KRAKÓW

16. VI. 1957 r.

Nr 6

CENA Zł 1.50



WA
KA
CJE!

ZDARZENIA TYGODNIA

ROZBROJENIE „KROK ZA KROKIEM“.

Kilkanaście dni już upływa, kiedy Guy Mollet powiedział, że „sprawa rozbrojenia przestała być problemem akademickim“. Przed kilku dniami Harold Stassen — delegat USA w Podkomisji Rozbrojeniowej ONZ stwierdził, że „prace Podkomisji powoli posuwają się naprzód, przy czym wiele skomplikowanych kwestii zostało rozwiązanych“.

„United Press“ twierdzi, że projekt amerykański przewiduje rozbrowienie „krok za krokiem“ według kolejności:

1. kontrolowane ograniczenie prób z bronią jądrową,
2. redukcja zbrojeń zwykłych oraz liczebności sił zbrojnych wielkich mocarstw,
3. inspekcja powietrzna na zasadach wzajemności.

Czy nie dostrzegasz Czytelniku poważnego zbliżenia w rozbrowieniowych propozycjach między Moskwą a Waszyngtonem? — Tylko Niemcy zachodnie próbują wywierać nacisk na Waszyngton, aby sprawę rozbrowienia połączyć ze sprawą zjednoczenia Niemiec.

TARGI POZNAŃSKIE — WIELKA IMPREZA MIĘDZYNARODOWA

9 czerwca br. otwarte zostały XXVI MTP. Polska nie należy wprawdzie do takich państw, jak Holandia, czy Czechosłowacja, których udział handlu zagranicznego w dochodzie narodowym przekracza 30 proc. — niemniej znaczenie handlu zagranicznego dla całości naszej gospodarki narodowej wzrasta systematycznie. W roku 1957 Polska bierze udział w 24 imprezach targowych w różnych punktach globu ziemskiego.

Tegoroczne Targi, to wielka impreza międzynarodowa. (113 central handlowych państw socjalistycznych, 1400 firm krajów kapitalistycznych, 12 tys. eksponatów z Polski). Bez przesady i taniej reklamy można powiedzieć, że w tych dniach skupia się na Poznaniu uwaga najważniejszych kół handlowych i gospodarczych świata. Dużo i różnorodnie ekspozycje zaprezentowały kraje socjalistyczne, zwłaszcza ZSRR, Czechosłowacja, NRD — nasi najpoważniejsi partnerzy handlowi. Po raz pierwszy w Targach biorą udział USA i Indie. Wspaniałe ekspozycje przygotowały NRF, Francja i Anglia.

POLSKO-AMERYKAŃSKIE POROZUMIENIE GOSPODARCZE

Trwające od lutego polsko-amerykańskie rokowania gospodarcze zakończyły się zawarciem porozumienia, na podstawie którego Stany Zjednoczone dostarczają nam zboża, bawełny, tłuszczu i olej oraz maszyn górniczych na sumę 48,9 mil. dolarów. Przygotowuje się następną transakcję na sumę 46,1 mil. dolarów. Razem da to sumę 95 mil. dolarów. Jest to suma wprawdzie trzykrotnie mniejsza od tej, jaką proponowała nasza delegacja, ale pozwoli nam ona zakupić na dogodnych warunkach kredytowych pewną ilość towarów niezbędnych dla naszej gospodarki.

Porozumienie gospodarcze ma charakter kredytu towarowego, jest umową typowo ekonomiczną, handlowo-finansową, wolną od wszelkich warunków i zobowiązań politycznych. Takiego właśnie porozumienia życzyliśmy sobie.

Porozumienie polsko-amerykańskie jest niewątpliwie zapowiedzią złagodzenia dotychczasowych przepisów, które utrudniały eksport towarów amerykańskich do Polski.

CZY BĘDZIEMY MIEĆ ELEKTROWNIE ATOMOWĄ ZA 10 LAT?

Nawet wcześniej — bo już w 1966 r. — stwierdził w swym referacie prof. Nowacki na Światowej Konferencji Energetycznej w Belgradzie. W Konferencji z ramienia Polski bierze również udział inż. Frankowski — kierownik sekcji energetycznej Instytutu Badań Jądrowych w Warszawie.

Związek Radziecki postuluje na konferencji uruchomienie drugiej elektrowni atomowej już w 1960 r. Konferencja zastanawia się nad sposobami rozwoju badań jądrowych w krajach słabo rozwiniętych.

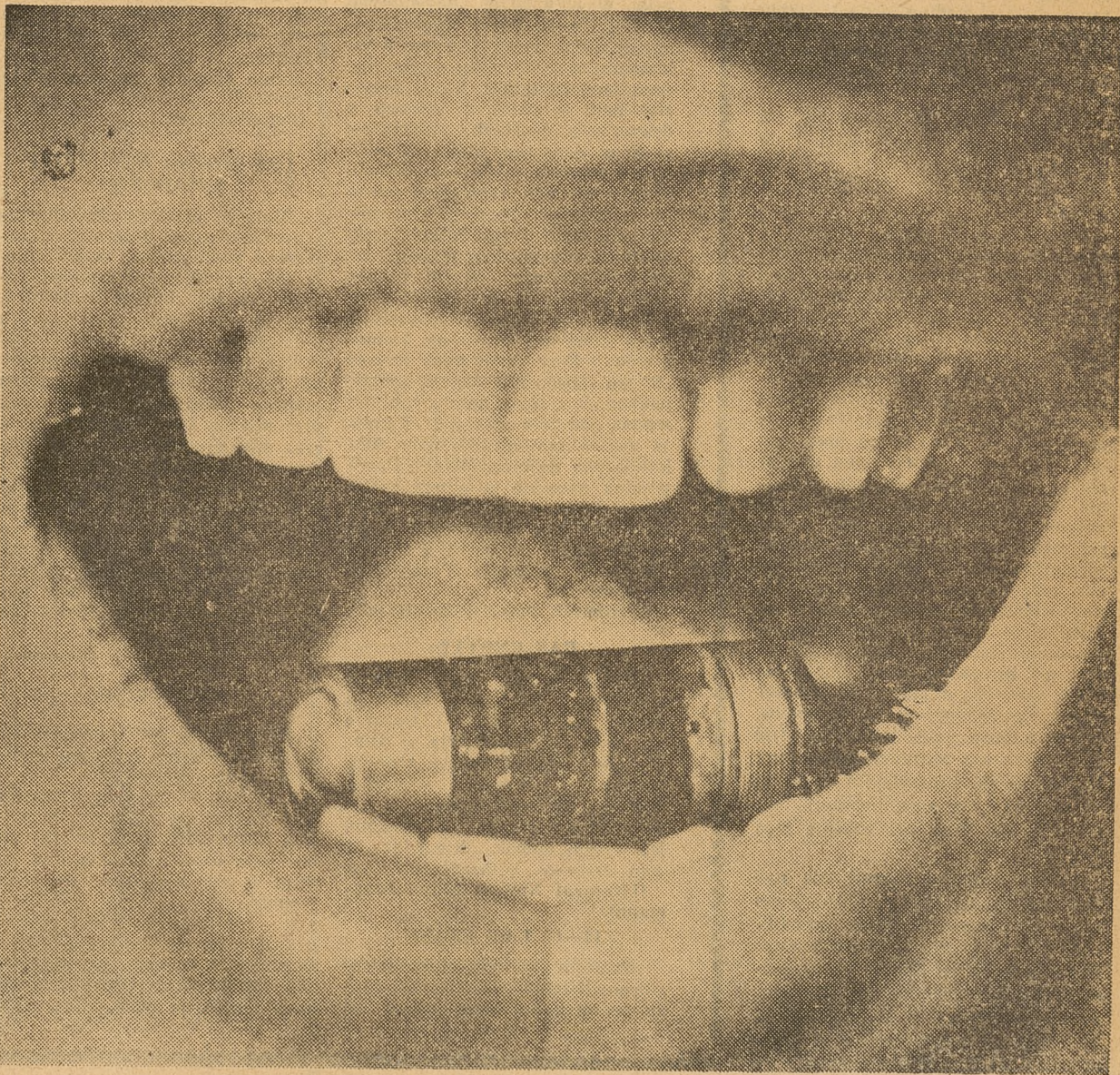
PERSPEKTYWY ROZWOJU MOTORYZACJI W POLSCE

Za 15 lat będziemy produkować: 122 tys. samochodów osobowych, 23 tys. ciężarowych, 120 tys. motocykli, 600 tys. rowerów.

Powyższe cyfry zaczerpnięte są z protokołu obrad Komisji Sejmowych, które zastanawiają się obecnie nad perspektywicznym planem rozwoju naszej gospodarki narodowej, m. in. planem rozwoju przemysłu motoryzacyjnego w Polsce.

W numerze 4 „Zdarzeń“ pisaliśmy o skonstruowaniu przez znanego uczonego amerykańskiego Zworykina miniaturowego aparatu do badania zmian ciśnienia w przewodzie pokarmowym człowieka. „Pigułkę“, w którą wmontowany jest aparat, połyka pacjent. Wędrując przez

przewód pokarmowy, żołądek i kiszkę, aparat za pomocą swego nadajnika informuje lekarzy o aktualnym ciśnieniu w danym odcinku przewodu. Oto rewelacyjne zdjęcie „pigułki-aparatu“ na chwilę przed... połknięciem.



ST. LEM

Kto nie pisze u nas o ekonomice, ten pisze o polityce, a kto nie pisze o polityce, pisze o sprawach Zachodu. Cała publicystyka obraca się w tym zaklętym trójkącie — nie ma z niego wyjścia. Chocymy zaczął od mumii starożytności, od życia pociągów ośmiornic, od gwiazdy bełejemskiej — muszę wylądować w ekonomii, polityce albo na Zachodzie. A chciałem właśnie o powieści kryminalnej. Przeczytałem „The Big Sleep” Raymonda Chandlera. Kupiłem tę książkę tuż przed ostatnim dzwonkiem, bo wydawnictwa mają w Klubie Międzynarodowej Prasy podróże trzykrotnie od 1 lipca. Kto nie wie o tym, niech leci i niech do tego swego pokoju, w którym magazynuje papier higieniczny i żarówkę, wnieśli ze dwa centnary barwnych reprodukcji i pism zagranicznych. A także „The Big Sleep”, bo tę książkę warto przeczytać. Napisała jest w konwencji „przystojny potworek” — od „potworka”, tj. kobiety odpowiednik potwora. Chodzi o pannę, która dawniejszy autor, jakiś Wallace czy Mac Donald przeznaczal na wybrankę detektywa. Nigdy nie okazywała się ona zbrodniarką, choćby nawet padały na nią najstraszniejsze podejrzenia. Teraz to już przeszło; jest nawet moda na morderczynie — kociaki.

Książka jest niezła, choć intryga w niej raczej z drugiej ręki, żadnych cudów, nie holmesowego, bez psychologizmów, rebusów intelektu. Warsztat pisarski solidny — to najlepsze określenie. Rzecz charakterystyczna: wykonanie, wykończenie, jakości każdej rzeczy i każdej usługi nie spada na Zachodzie poniżej pewnego minimum, śrubowanego w górę silną konkurencją. To minimum przedstawia się w naszych oczach jako wcale wysoki standard. U nas wszędzie — w butach, gotowych ubraniach, domach i powieściach sensacyjnych — panuje wszechwładnie bylejakosć, robota na „aby-aby”, na „jakoś to be”, na „hops”, podczas kiedy tam nacisk konkurencji zmusza ślusarza, murarza i pisarza do uczciwego wyciągnięcia się z portek. Sfuszerujesz — nikt nie kupi. Z jawną tandetą możesz sobie odejść i zbankrutować w samotności. Film amerykański może być naturalnie bzdurny, ale widać, że robili go spece, że jest solidnie odrobiony, wypieszczony jak bucik, wyglansowany, zapięty na ostatni guzik. Artystycznie może być kiczem, ale zawsze zdradza dobre rzemiosło i pewną zawodową staranność. Amerykański ciuch może kolorami wygryźć oczy, ale w praniu nie puści.

Tak samo książka kryminalna, o akcji seryjnej, o pomysły z drugiej ręki, jest solidnie odrobiona i poskręcana w szczegółach, daje skróty dialog, według dobrej szkoły Hemingwaya czy Steinbecka, każdy opis, każdy „detal” jest starannie wykonany i siedzi na swoim miejscu.

Oczywiście o obyczajowości, o zwykłym życiu Amerykanów nie można się nazbyt wiele z takiej książki kryminalnej dowiedzieć, a jednak..

Chodzi mi o rzecz, której na pewno nie dostrzeże żaden obywatel Stanów, ani sam autor. Zastanowił mnie stosunek Amerykanina do samochodu. Ilość przechodzi w jakość — w tym sensie, że auto staje się czymś równie oczywistym, zrozumiałym samo przez się, jak spodnie. Jeżeli chce opowiedzieć o przechadzce mego bohatera, to nie zatrzymam się specjalnie na tym, że on nosi spodnie. Gdy amerykański autor powie, że jego bohater udaje się za miasto, to oczywiście jest, że udaje się autem: na uwagę, jako fakt godny podkreślenia zasługuwałaby dopiero wycieczka piesza. Byłaby czymś raczej niezwykłym. Podobnie ani jednego słowa nie poświęca pisarz jakims wynikającym z jazdy „emocjom automobilistycznym”. Jak polski pisarz nie będzie się bawił smakowaniem maestrii, z jaką jego bohater chodzi, podnosząc najpierw prawą, a potem lewą nogę, jak umie zejść z chodnika lub wyminać kałużę, tak też postępuje Amerykanin, tyle, że w stosunku do auta bohatera, nie do jego nóg. Ono jest właśnie jego nogami.

Snując podobne rozmyślenia nad przeczytaną książką, przypomniałem sobie rozmowę z pewnym czytelnikiem na wieczorze autorskim. Czytelnik ów twierdził, że akcja polskiej powieści kryminalnej winna toczyć się w Polsce. W zasadzie skłonny byłam się z nim zgodzić — przenoszenie akcji za granicę wydaje się

chęcią epatowania, przyciągnięcia odbiorcy na wędkę snobizmu. Potem jednak poczęłam się wahać. Akcja powieści kryminalnej jest to pewne rozsądzenie, pęknięcie zwartej, gładkiej, normalnej powierzchni życia. W pierwszym rozdziale jest wszystko takie, jak ma być zwyczajne, spokojne, potoczne, aż tu nagle jakieś morderstwo, jakiś rabunek, jakieś niestychane zdarzenie wprowadza nieoczekiwaną anomalię, niczym pęknięcie, zarysowujące ścianę budynku. Intryga idzie wzdłuż rysu tego pęknięcia, które rozbiegają się, poszerzają, detektyw poszukuje przyczyn zjawiska, a z jego triumfem szczeliny zostają zasklepione, a no-

z dwoma Coltami w rękę. Stary, dzentelmeński, emerytowany pułkownik, hodujący róże, dostaje w liście zasuszone, odcięte ucho. Młodzieniec, wędrujący cichą uliczką, znika jak kamfora. Przed chwilą widział go trafikarz, odtąd już nigdy nikt, jakby go święta ziemia pochłonięła.

Gdyby młodzieniec przechadzał się w mieście, w którym działa policja polityczna, zniknięcie nie byłoby powodem do zdziwienia. Urzędnik mógłby bardzo dobrze wyleźć z szafy uzbrojony, np. w czasie powstania warszawskiego, i nikt by się nie zdumiał. Gdyby stary pułkownik był Polakiem, zapewne posiedziałyby

efekcie otrzymałoby się jakiś twór pełen dysonansów, może jakąś ciekawą nawet powieść środowiskową, może ponurą groteskę, w każdym razie nie „normalną” powieść kryminalną. Zachodzą i inne, niemniej doniosłe różnice. Sama struktura semantyczna naszego języka przy bliższym zbadaniu wskazuje, że granica między normą społeczną postępowania a jej przestępczym przekroczeniem jest u nas w wielu miejscach płynna i zatarta. Nawet pospolity morderca łatwo może uzyskać zięgodzenie kwalifikacji społecznej swego czynu, a to przez nazwanie go „chuliganem”. Wszystko to są objawy przemian socjologicznych małych zbadań, sięgających korzeniami najgłębszych warstw naszego bytowania. Można, oczywiście, osadzić powieść sensacyjną w naszym kraju — ale nie będzie ona odpowiadać klasycznemu schematowi budowy tego gatunku, który brzmi „błogi spokój — anomalia, spowodowana przestępstwem — błogi spokój”. Błogi spokój nie podobna ani na chwilę wprowadzać do książki, gdyż wówczas zapachnie ona cukiernią i będzie nieprzyjemnie przypominać typowe owoce produkcyjnego schematyzmu, co też, niestety, obserwujemy w niektórych rodzimych „kryminałach”, powstałych w ostatnim czasie. Jest to nieuniknione. Nie podobna rysować, logicznych, precyzyjnych łamigłówek kryminologicznych na powierzchni naszego życia — tak samo, jak nie można skoncentrować uwagi widza na ornamentach czy rebusach, rysowanych na piasku podczas trzęsienia ziemi. A z czymże innym, jeśli nie z wielkimi ruchami tektonicznymi, z połączonymi wstrząsami gruntu, można zestawiać taki proces, jak budowanie nowego ustroju?

Na tym kończę refleksje nad powieścią Chandlera. Nie udało mi się ustrzec przed problemem Zachodu, ani przed Polityką, i nawet zaciękw temat ekonomiczny można by się w nich doszukać — choć chciałem mówić tylko o romansie detektywistycznym. Z góry wiedziałem, że tak będzie. Na to nie ma rady.

Felieton

KRYMINOLOGICZNY

malie zlikwidowane, zwycięstwo sprawiedliwości oznacza powrót do ładu, do normy, i tym się książka kończy. Konflikt kryminalny występuje tym ostrzej tym większe wywołuje wrażenie, im większa jest „różnica potencjałów” między normalnym spokojem otoczenia, a szokującym zdarzeniem, stanowiącym splonkę intrygi. Urzędnik bankowy, który od trzydziestu lat prowadzi życie wyregulowane, jak zegarek, dostanie i nudne, naraz wylezi z szafy w masce gumowej na twarz,

trochę za akowską robotę i miałby inne zmartwienia od hodowania róż, i większe kłopoty od dociekania, kto przysłał mu korespondencyjne uszy. Jak widać z tych przykładów, intryga kryminalna, wprowadzona z obowiązującą, według wszystkich kanonów konwencji do naszego, rzeczywistego życia, przedstawiałaby się nie jako wstrząsające naruszenie doskonałego, oczywistego spokoju i ładu, ale jako nałożenie nieregularności dziwnej, czy krwawej, na tysiące nieregularności innego rodzaju. W

ZAMIŁOWANIE

„Pomysł wyzwalania Polski głodem, bo do tego sprowadzało się stanowisko p. Mikołajczyka w sprawie ewentualnej pożyczki amerykańskiej, nie spotkał się z uznaniem wśród zwolenników prezesa Szczoteczki. Niekiedy na znak protestu opuścili szeregi stronnictwa p. Mikołajczyka, a w Szwecji zbuntowało się pismo, które było organem tego stronnictwa. W tej sytuacji gętki prezes zmienił stanowisko i obecnie wypowiada się (warunkowo) za pomocą amerykańską dla Polski. Takie przynajmniej stanowisko zajął w wywiadzie udzielonym agencji United Press. Nigdy byśmy się nie dowiedzieli o tym wiekopomnym wydarzeniu, gdyby nie uprzejmy czytelnik, który przysłał nam wycinek z jednego z dzienników polskich wychodzących w Ameryce, który cytował opinię prezesa. Nie one jednak zrobiły na nas największe wrażenie. Mówiąc o pomocy finansowej dla Polski, pan Mikołajczyk — donosi wspomniany dziennik — zwierzył się przy okazji, że nie rozstaje się z rewolwerem ze względu na niebezpieczeństwo, jakie grozi mu ze strony komunistów. Przy czym miał dodać: „W ten sposób nie wypadła „przy-padkowo” z okna hotelu lub nie wpada pod koła subwayu”. Ujmując nas to zamiłowanie pana Mikołajczyka do broni palnej. Przypomina nam się ta uroczą scena przepieklej, romantycznej bajki, jaką pan Mikołajczyk osnuł na tle swej ucieczki z Polski. „Wyjąłem rewolwer i zacząłem się modlić”.

(„Dziennik Polski i Żołnierza”).

PAS CNOTY?

„Dzisiaj byłoby rzeczą jedynie szkodliwą, gdybyśmy nakładali naszej socjalistycznej literaturze pas cnoty, aby pozostała w dziełnictwie i nie zgrzeszyła żadnym „izmem”. Niechaj odważnie wkracza do rzeczywistości i nie wyrzeka się niczego co mogłoby jej w tym pomóc. Nie widzę w tym żadnego niebezpieczeństwa.

(Literarni Noviny, Milan Jungmann).

12—17 LAT CZASU

„Profesor uniwersytetu tokijskiego, Hijama oświadczył, że jeśli próby z bombami jądrowymi

ZDERZENIA

będą kontynuowane w obecnym tempie, maksymalne zagrożenie życia ludzkiego ze strony pyłu radioaktywnego nastąpi za 12—17 lat”.

(Associated Press).

KROCZCIE DROGA SOCJALIZMU!

„Chcemy pomóc przemysłowcom i kupcom w przebyciu okresu przejściowego, pomóc im, by stali się obojętnymi szacunkiem pracownikami w społeczeństwie socjalistycznym. Kroczyć zdecydowanie drogą socjalizmu, przyjaciele!

(Zenminzhipao).

CZY MOŻNA BYĆ MNIEJ UMARŁYM?

„Biuletyn prasowy socjaldemokratycznej partii niemieckiej ironicznie potraktował twierdzenia, iż Wielka Brytania wyprodukowała „czystą” bombę wodorową. „Postęp techniczny — stwierdza biuletyn — świeci triumfem, jednakże jest to zupełnie obojętne dla tego, kto zostanie zabity przez bombę. Niegdyś zabijano ludzi przy pomocy lanc i mieczów, podczas gdy nowoczesne bomby wodorowe dostarczane są w higienicznej formie i są gładkie pod względem moralnym i etycznym. Czyż to nie jest postęp? Jest tylko jeden drobniak, który przeoczyli Niemiec i międzynarodowi entuzjaści atomu: nie można być mniej umarłym, można być tylko umarłym”.

(Reuter).

TRZY CECZY

„Rząd polski jest — niewątpliwie — rządem polskim i jedynym legalnym rządem, ponieważ:

1. znalazł on poparcie i uznanie w wyborach syceniowych do Sejmu, które tym razem odbyły się bez przymusu, a dobrowolnie udział w nich wzięło ok. 100 proc. wyborców;

2. znajduje uznanie i czynne poparcie innych rządów świata i to nie tylko komunistycznych, ale jak najbardziej antykomunistycznych z USA na czele, które rzą-

dowi polskiemu w Warszawie udzielają pomocy finansowej i gospodarczej, a instytucje amerykańskie, nie bez wiedzy rządu Stanów Zjednoczonych — pomocy naukowej za pośrednictwem Polskiej Akademii Nauk, działającej w Polsce pod auspicjami rządu polskiego;

3. rząd polski w Warszawie sprawuje władzę rozporządzającą wszystkimi bez wyjątku atributami władzy państwowej, przy wszechstronnym i dobrowolnym udziale obywateli.

Podane wyżej trzy cechy w sposób niedwuznaczny ustalają obecną sytuację w Polsce. Oddzielanie więc narodu od rządu jest zupełną fikcją, pozbawioną jakichkolwiek podstaw”.

(Agencja Polska ZSA).

ZAMIAST 2 DNI — 10 MINUT

„W ciągu sześciu dni zaniedbywano i lekceważono kardynała polskiego. Przebieg rozmów z papieżem jest nieznamy. Następnie dokonano wręczenia kapelusza kardynalskiego Wyszyńskiemu. „Corriere Della Sera” pisze, że papież załatwił uroczystości trwające zwykle 2 dni w ciągu 10 minut”.

(„Viesnik”).

CUDZOZIEMCY W POZNANIU POMOST

„Upłynął prawie rok od momentu, gdy robotnicy poznańscy rozpoczęli strajki i demonstracje, które doprowadziły w następstwie do deklaracji Gomułki. Wczoraj, na Międzynarodowych Targach w Poznaniu naród polski demonstrował inaczej. Wielkie tłumy ludzi kierowały się do pawilonu amerykańskiego, aby zobaczyć wystawione tam eksponaty. Miejmy nadzieję, że te odnowione kontakty z narodem polskim i jego rządem doprowadzą do osiągnięcia wzajemnego zaufania i poszanowania, które pewnego dnia może stać się pomostem między Wschodem a Zachodem”.

(„Washington Post”).

NOWY DUCH

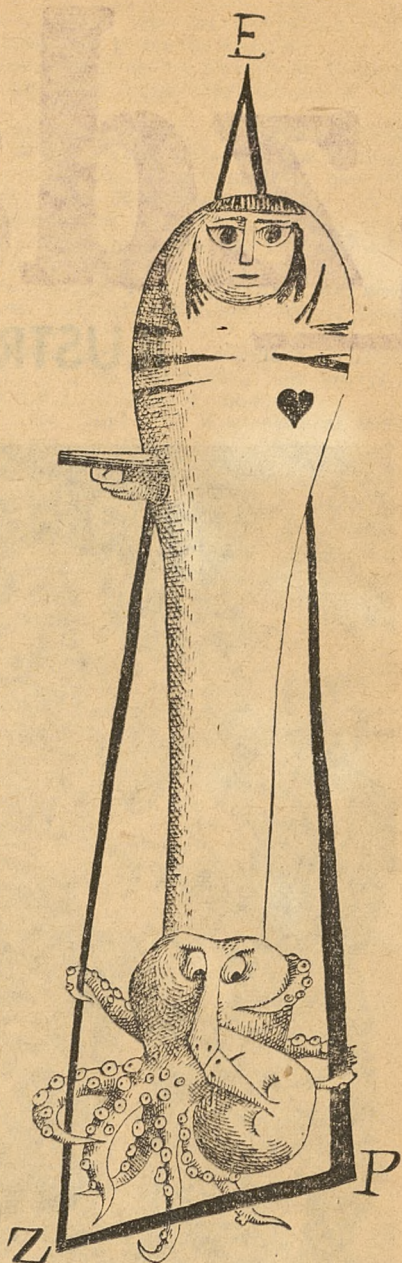
„Rozruchy w Poznaniu, które doprowadziły do polskiego października i udzielenia władzy Gomułce, miały miejsce prawie 12 miesięcy temu. Od tego czasu odbywają się teraz drugie Międzynarodowe Targi i ulice miasta, po których suną samochody z gośćmi zagranicznymi, są udekorowane flagami. Wprawdzie narodowi polskiemu nie powodzi się materialnie lepiej... lecz panuje nowy duch, który sprawia, że nawet niedza wydaje się bardziej znośna i daje nadzieję na lepszą przyszłość. Oddziały policji urzędu bezpieczeństwa zostały zniesione w jej stalinowskiej formie. Liczebność tej policji jest zredukowana, a jej ścisły kontakt z partią nie jest uważany więcej przez zwykłych obywateli jako instrument przymusu politycznego. Nawet ludzie najbardziej krytycznie usposobieni do reżimu komunistycznego, czują, że mogą otwarcie wypowiadać swe poglądy. Wprawdzie cudzoziemcy — zwłaszcza z Zachodu — nadal czują się jak gdyby byli przybyszami z księżycy — wydaje się, że szczególnie lubią ich mali chłopcy zwracający się o autografy, cukierki lub papierosy — lecz nie dostrzegają już barier politycznych, które kiedyś sprawiały, że cudzoziemcy bali się zbliżyć do publiczności. Bariery te znikły”.

(„Times”).

BEZ HASEŁ

„Korespondent DPA podkreśla, że wprawdzie widzi się emblematy 30 krajów uczestników Targów, jednakże nie ma żadnych haseł politycznych i transparentów... Kierownik niemieckiej delegacji na Targi, radca ministerialny dr Schulz-Finke oczekuje, że w przyszłym roku udział Niemców w Targach będzie jeszcze większy. Dokonywanie przez Polaków prywatnych zakupów jest wprawdzie niemożliwe, jednakże zwiedzający Targi dają wyraz dużemu zainteresowaniu. Chwilowo zarówno oficjalne jak i nieoficjalne rozmowy między przedstawicielami rządowymi i przedstawicielami delegacji i gospodarki przyczyniają się do stworzenia podstaw w kierunku bardziej intensywniej wymiany towarowej z Polską”.

(„Der Tag”).



REPORTAŻ

Do kogo ta mowa?...

Komisariat MO. Na ławce młody chłopiec. Pali niecierpliwie papierosa i co kilka minut pyta: — Długo jeszcze? — Spiesz ci się? — odpowiada milicjant sporządzający protokół. — Nie nauczyli cię jeszcze cierpliwości przez tych 6 lat? — Cztery — poprawia chłopak — wyrok był na sześć, ale siedziałem cztery.

Marian T. ma 23 lata, z tego cztery — w obozie pracy. Dwa pozostałe lata kary przekreśliła amnestia. O podstawie łącznego wyroku informuje lakonicznie:

— Kradzież i takie tam... pobicie... Nie miała to musiała być kradzież i niemale pobicie, skoro tolerancyjna z zasady praktyka naszych sądów zsumowała je w bilans sześciu lat. Dzisiaj Mariana T. zatrzymano pod zarzutem chuligańskiej napaści na przechodnia. Sprawa zresztą jest niejasna, poszkodowany (?) uciekł, trudno dociec, po czyjej stronie leży wina. Można się spodziewać, że rozcieńczony brakiem dowodów epi-

więznia w trakcie odbywanej kary. Opinię wydaje naczelnik więzienia czy ośrodka pracy, zatem osoba absolutnie nie zorientowana w skomplikowanym całokształcie przyczyn, które uprzednio złożyły się na taki, a nie inny wyrok. Jakże czynniki mogą być brane pod uwagę przy wydawaniu opinii pozytywnej? Zdyscyplinowanie więźnia, jego pracowitość i respekt dla aktualnie obowiązującego regulaminu. A więc czynniki tylko i wyłącznie zewnętrzne.

Jak mnie poinformowano w kołach prokuratorskich, nie więcej niż 20 proc. więźniów odbywa karę pełnoterminową. Pozostałych 80 procent wychodzi na wolność przed okresem przewidzianym w wyroku. Tak przedstawia się sytuacja, której punkt wyjściowy stanowią ogólnie, tolerancyjne wymiary kar sądowych.

Trzy rozmowy

Rozmawiam z wysokim funkcjonariuszem MO.

— Więzienie?... To brzmi groźnie tylko dla tych, którzy wobec prawa są w porządku. Jeśli idzie o przestępców zwłaszcza doświadczonych, nie ma u nas mowy o jakimkolwiek czynniku zastraszenia. Już w momencie zatrzymania oświadczają nam bez ogródek: „Bede się dobrze sprawował, to i tak wyjdę niedługo

tej do końca życia nie usuwalnej pamiętce czterech lat edukacji nie szło przypadkiem także o jakieś stwierdzenie nowej przynależności społecznej? Czy poza chęcią imponowania dziewczynom swojego kręgu nie kryje się żądza manifestacji? I ja już zdążyłem przez to przejść? To jest już także i mój świat?...

Nie ma recydywizmu?

Odpowiedź wcale nie taka prosta. Jest recydywizm, i to przerażający, jeśli się słyszy o ludziach, nałogowo popadających w kolizję z kodeksem karnym, jeśli się widzi wyrostków po raz czwarty, piąty zasiadających na ławie oskarżonych.

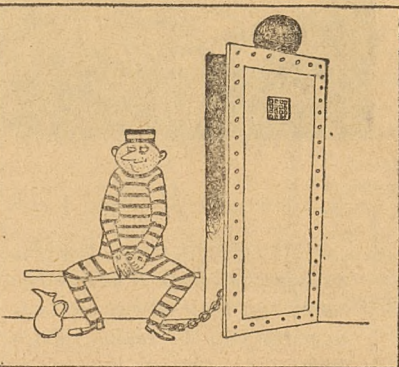
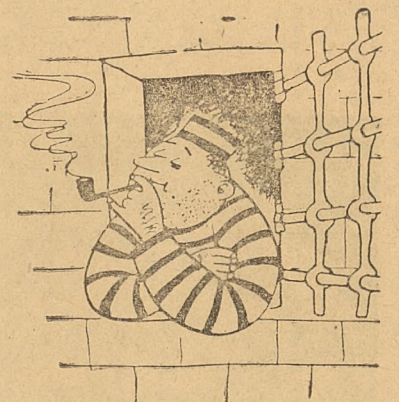
Nie ma w Polsce problemu recydywizmu — jak oświadczył jeden z krakowskich obrońców, zarzucając prasie „lansowanie drakońskich metod”. Rzecz miała miejsce na zebraniu Okręgu Zrzeszenia Prawników Polskich, w obecności co najmniej dwustu sędziów i prokuratorów. Nikt nie zaprzeczył, nikt nie usiłował sprostować. Dlaczego? Ponieważ podług prawa, czyli podług obowiązującego u nas kodeksu karnego, recydywista jest tylko ten, kto w ściśle określonym terminie popełnia kolejny czyn przestępczy natury identycznej jak poprzedni. A więc w obliczu sprawiedliwości za recydywistę uchodzi (i to tylko przed upływem określonego ustawowo czasu) ten, kto dopuścił się np. powtórnej defraudacji. Natomiast tak zwany chuligan, który raz połączkuje kobietę, innym razem rozbija kiosk, jeszcze innym — pod groźbą noża zdołałby czyścić portfel, do miana recydywisty nie dorasta.

Tabakiera dla nosa, czy...

Dzień po dniu przynoszą gazety świeże informacje o nowych bandyckich wyczynach, o coraz groźniejszych zbrodniach. Wieczorami ludzie boją się wychodzić z domu. Niebezpieczne są podmiejskie uliczki, niebezpieczne są o zmroku nawet Planty. Posterunki milicji, prokuratury, sądy mają swoich stałych bywalców. W kartotekach więziennych powtarzają się te same nazwiska. Ale bandytyzm oklejony jakże pojemną etykietką chuligaństwa, odfajkowują (półki się daie) tylko kolegia orzekające. Ale ludziom sprawującym wymiar sprawiedliwości, recydywizmu oficjalnie doszukiwać się nie wolno. Kodeks karny nie pozwala.

Przepraszam bardzo — czy to zaistniałe w społeczeństwie stosunki ma się pagnąć do ustaw, czy raczej odwrotnie? Kiedy doczekamy się nowego kodeksu, nowych przepisów, a przede wszystkim należytych codziennych praktyk wymiaru sprawiedliwości, które dogonią życie?

ANNA STROŃSKA



ANNA STROŃSKA

Fot. ANDRZEJ PIOTROWSKI

WIEZIENIE WIDZI SIĘ I TAK

log zajścia przyschnie pod dobroliwym monitem kolegium orzekającego. Milicjant jest najwidoczniej tego samego zdania i na własną rękę próbuje trafić do sumienia „interessanta”:

— Człowieku, na co ci to wszystko? Znowu chcesz popaść w bandytyzm? Pomyśl, tylko tak dalej — a zarobisz kiedy dożywiesz...

Chłopak wybucha śmiechem. — Panie kierowniku, do kogo ta mowa?... Kto w Polsce dosiedział dożywocia? Chyba na amnestiach pan się ode mnie zna lepiej, nie?...

Więzienie widzi się i tak

Jest bardzo ciepło. Marian T. zdjął marynarkę, siedzi teraz w rozpiętej szeroko koszuli z krótkimi rękawami. Milicjant pochwytywa mój wzrok, uśmiecha się.

— Pani tego jeszcze nie widziała? Większość tak wraca. Technika jest całkiem prosta: trochę tuszu, gruba igła... najciekawsze, że o zakażeniach jakos się nie słyszy.

Ramiona chłopaka od bark po grzbiety dłoni pokryte są drobnymi, sinymi kwiatuśkami. Na palcach — marynarskie kotwice, serca przebite strzałą, sygnet aż granatowy z nasilenia barwnika. Na piersiach i brzuchu obrznięty pornograficzny fragment aktu kobiecego.

— Kto cię tak wymalował? — Milicjant z góry zna odpowiedź, idzie jednak o to, abym i ja usłyszała — z pierwszego źródła.

— Współwięźniowie w obozie, tzn. jeden taki starszy...

Starszy — czyli recydywista.

Więzienie, jak wiadomo, ma wychowywać. A więc czytelniczo, świetlicą, a więc pracą. Do niedawna jeden dzień pracy przeliczało się na dwa dni kary. Kto miał zdrowie i siły, wychodził wcześniej — z olbrzymim niekiedy zarobkiem w kieszeni. Marian T. także wyszedł z blisko 20-tysiącami. Sam wspomina, że miałby więcej, ale rozeszło się na „wypiski”. Dobre papierosy, słodycze, wino... kantyny więzienne są obficie zaopatrzone. A wikt podstawowy przecież nie kosztuje.

— Inni — mówi chłopak z niejaką zawzięcią — wynosili drugie tyle. Gość z miejsca kupuje ze dwa motocykły, urzadza się...

— Jednym słowem źle nie było? — Ii... tyle, że trochę nudno. Ale jakbyś tak wódkę miał i jeszcze jaką babkę pod ręką, to słowo daję, całe życie mogę siedzieć.

Cyfry i rezultaty

Po ostatniej reformie więziennictwa dopuszczalny jest już tylko tzw. fakultatywny system zwolnień. Inaczej mówiąc, o przedterminowym odzyskaniu wolności decydują już nie silne meśnie i perspektywa wysokich zarobków, ale zachowanie się

i jeszcze zarobię”. Przekazanie więziennictwa Ministerstwu Sprawiedliwości, likwidacja obligatoryjnego systemu zwolnień — to za mało. Ja bym proponował wielką publiczną dyskusję nad formami już rzeczywistego — i życiowego przekształcenia więziennictwa.

Rozmawiam z prokuratorem powiatowym.

— Skąd to niesłychane rozzuchwalenie elementów społecznych, o którym tyle się mówi i pisze? Przestępczość typu „chuligańskiego” jest ogromna. Czym odpowiadamy? Sady, zwłaszcza rewizyjne, rozważają sprawy w całkowitej izolacji od życia, nie widzą problemu, interesu społeczeństwa. Mnóstwo kar z zawieszeniem. Mnóstwo przedterminowych zwolnień. Za pobłażliwość wobec jednostek — płaci ogół...

I wreszcie — rozmawiam z tak zwanym „szarym człowiekiem”.

— ...bo u nas, proszę pani, politycznych prawo biło, a kryminalnych — głaskało i dalej głaszcze. Więzienie dla nich czysty śmiech... Ja na wolności połowy tego nie zarobię, co oni za kratkami. Owszem, i ja jestem za ludzkim traktowaniem. W każdym trzeba uszanować człowieka. Ale dlaczego u nas nie stosuje się karv ciężkich robót dla najgorszych zbrodniarzy, dlaczego zabójca nie musi oddawać swoich więziennych dniówek rodzinie pokrzywdzonego, a złodziej — władzom miejskim na korzyść całego społeczeństwa? Z jednego filmu dowiedziałem się, że gdzieś tam w świecie, w Szwecji albo w Szwajcarii, morderca do końca życia płaci odszkodowanie sierotom. Czy to prawda, proszę pani?

Tatuaż

Zaledwie pełnoletni nowicjusze trafiają do cel, gdzie po raz pierwszy tam z rzędu odbywają swoją kwarantannę rutynowani kryminaliści. „Starsi”. Nie stosuje się żadnych chociażby prób odseparowania debiutantów od tych, dla których utrata wolności była tylko kolejną, zwyczajną konsekwencją z a w o d u

Podskórny, nieuchwytny dla wszelkiej kontroli nurt więziennej edukacji. Skąd ostatecznie wzięłoby się powiedzonko, że więzienie jest uniwersytetem przestępczości?

Na długo przed wojną przestępcy najgrubszego autoramentu mieli zwyczaj zaopatrywania się w pewien znaczek rozpoznawczy. Mikroskopijna, błękitna plamka w szczelnie powieki — tatuaż, niedostrzegalny dla niewtajemniczonych, ułatwiał kontakty ze środowiskami kryminalnymi całego świata.

Nie wiem, czy jest to praktyka nadal aktualna. Tatuaż Mariana T. miał oczywiście całkiem inną genealogię. Tu już w grę wchodzi swoiste kryteria estetyczne. Ale czy w,



Milicjantowi wolno użyć broni tylko w obronie zagrożonego życia. Płynna to granica. Bandyci nie rezygnują do ostatka. Dlatego zdarza się, że funkcjonariusz już nie wraca ze służby.



Zabójstwo? Nie. Po prostu zabieg, który w chuligańskim żargonie nazywa się „kradzieżą na trupku”. Pijak śpi snem kamiennym. Wesołego przebudzenia...

Okienko problemów aktualnych

KURANCIK FRYDERYKA WIELKIEGO

Audycja dla dzieci w polskim Radio — niewiadomo dlaczego z ilustracją muzyczną do przemarszu hitlerowców przez Europę. Nie wiem, jakie jest pochodzenie sygnału tej audycji. Może stworzył ją kompozytor należący do wszystkich partii postępowych świata. Niemniej skojarzenia, jakie wywołuje ten loskot wojskowego werbla i krótkie fanfary, jakby przy zmianie warty — niedwuznacznie przywodzą na myśl pudłaste koszyki z czerwonej cegły, oraz plac ćwiczeń, na którym kapral odczytuje przed milczącym frontem jednomyślną i spontaniczną petycję żołnierzy o przedłużenie służby o dwadzieścia lat, podpisaną przez dowódcztwo. Nigdy, ile razy ten sygnał mnie zaskoczy, nie mogę się uwolnić od wewnętrznego skurczu jak bym chciał się przed czymś bronić, albo coś demolować. Bo przecież to jest sygnał dla dzieci i audycja jest dla dzieci. I zaraz widzę, jak ci wyprężeni na baczność szeregowcy na tle cynobrowych murów maleją, drobnieją, i oto nie sięgają już kapralowi do żelaznej klamry u pasa, a ciężkie hełmy zakrywają im oczy; rzemieńne podpinky zbyt luźno obejmują cienkie szyje, a jednemu, na lewym skrzydle, wystaje z torni-stra pluszowy miś. Co będzie, kiedy stary kapitan, który wczoraj nadużył alkoholu, wyjdzie zza węgła rusznikarni i zobaczy tego misia?

Wydaje mi się, że wiem, skąd sygnał taki, a nie inny. Dorośli, w którymś tam roku życia, tracą, przezwyciężając raz na zawsze, swoje dzieciństwo. Niemniej, na podstawie gołego faktu, że są silniejsi, że zarabiają pieniądze i dziecko jest od nich zależne — wyobrażają sobie, że dziecko to jest taki sam człowiek jak i oni, tylko głupszy. Nie prostszego, jak stosować wobec niego wszystkie swoje własne pojęcia i kryteria, przy czym odpowiednie upraszczanie ich, wulgaryzowanie i przystosowywanie „na użytek młodzieży” daje dodatkową przyjemność płynącą z poczucia swej wyższości — oraz okazję dodatkowego zarobku. A więc, jeżeli dorośli na ogół — a w pewnych okresach historycznych szczególnie — lubią krzepę na użytek zewnętrzny (bo co u nich naprawdę w środku, to in-

na sprawą) więc rozumują: dzieci są po to, żeby rosły, czyli są przyszłością narodu. Przyszłość narodu musi być taka, jaką ją sobie popularnie przedstawiamy: a więc krzepka, buńczuczna i „en avant!” Zresztą dziecko jest beztroskie. To dorosły ma zmartwienia (skłócił go szef, ma kaca, przegrał w bridża) — dziecko zmartwień nie ma (bo nie chodzi to biura, nie pije, nie umie grać w karty). Ergo — dziecko jest pogodne i szczęśliwe. A ponieważ według ogólnie przyjętego zwyczaju i rozumienia pogoda i zadowolenie objawiają się w halasie, w buńczuczności, w manifestowaniu (charakterystyczne, że ludzie zamyślonych uważa się za smutnych, choć i to prawda, że ci, którzy myślą, nie znajdują zbyt wielu powodów do radości) — więc dalekie bić w bęben, trąbić i tupać. „Tylko nie po oczach, panowie, tylko nie po oczach!” — Trawestując to popularne powiedzenie, nie można by zawołać: „Tylko nie Hitler Jugend, panowie, tylko nie Hitler Jugend”.

I tak dzień w dzień, o godzinie 14.00. „Lokomotywa” Tuwima — z dydaktycznego punktu widzenia sygnału „Bum-Bum-Trach-Trach!” nie przedstawia specjalnej wartości. (Nie mówiąc już o „Kubusiu Puchatku” i „Chacie Puchatki”, Milne’a, które musiały by się okazać otwartymi bzdurami.) Nie przemycia w przystępnej formie technologicznego opisu semafora, nie poucza zresztą o konieczności wykupienia biletu i nie nawiązuje do dnia kolejarza. Jakbym słyszał nowelkę pt. „Staś, Franio i Hania jadą do babci”. „Jedźmy, jedźmy” — woła Franio — „Zaraz zaraz — wylewa Halinka na Fran’a kubełek zimnej wody — Najpierw trzeba pójść do kasy. Kasa, to takie okienko, w którym...” itd. — „Słusznie” — dorzuca Staś. A Franio, który nie wykupił biletu, bo chciał mieć na lody, wpadł pod pociąg i ucięło mu nogę.

Dzieci kochają tych dorosłych, z którymi mogą spotkać się w ojczyźnie wspólnej dla siedmioletnich uczniów którym piórnik grzechocą w torni- strach i siedemdziesięcioletnich poetów. W kraju wyobraźni.

SŁAWOMIR MROŻEK

NAUKA

Jest rzeczą wiadomą nie od dzisiaj, że warunki meteorologiczne wpływają nie tylko na stan psychiczny człowieka ale również w różny sposób oddziałują na organizm, przede wszystkim na organy krążenia a więc w pierwszym rzędzie — na serce. Ta ostatnia okoliczność zwłaszcza w obliczu zagadnienia społecznego jakim niewątpliwie stały się choroby sercowe, zmobilizowała świat nauki do walki i przeciwdziałania temu groźnemu zjawisku. Chodzi nie tylko o to, aby utrzymać przy życiu ludzi cierpiących na ciężkie schorzenia serca (zawał, dusznica bolesna) ale sprawa dotyczy też postępowania profilaktycznego.

Wiadomo — chorym na serce nie wolno palić, denerwować się, nadużywać piwnów, poddawać się zbyt silnym emocjom. Ale nawet przy ścisłym stosowaniu się do tych wytycznych u sercowców występują dni, w których — rzekomo bez żadnych istotnych przyczyn — czują się zupełnie dobrze a w tym samym dniu podczas którego nie naruszyli żadnego z zaleceń lekarskich, poczują odczuwać niepokój, bóle i nieregularną pracę serca. Odnosi się to zresztą nie tylko do chorych; te same zjawiska określane potocznie „czuciem serca” występują również u ludzi będących w zupełnie zadowalających warunkach zdrowia.

W czym tkwi przyczyna tych objawów? Narząd krążenia wraz ze swym ośrodkiem centralnym — sercem, jest czułym na zmiany ciśnienia atmosferycznego, które z kolei stanowi jeden z najważniejszych zmiennych elementów cyrkulacji atmosfery. Nie samo niskie czy wysokie ciśnienie stwarza zagrożenie, ale właśnie jego zmiany i to zmianą tym niebezpieczniejsze im bardziej gwałtowne. Należy również zaznaczyć, że równoległe ze zmianą ciśnienia na arenie pojawia się nowa, odmienna od poprzedniej masa powietrza, której różnice fizyczne uwydatniają się również w wartościach temperatury, wilgotności i nasłonecznienia. Cały ten zespół warunków meteorologicznych charakteryzujących dla danej masy fizycznej powietrza stwarza też określone warunki biodynamiczne oddziałujące w określony sposób na system krążenia. Zidentyfikowanie tych wpływów i przeciwdziałanie im w wypadku stwierdzenia ich skutków należy do zagadnień klimatolo-

Z „SERCOWEGO” PUNKTU WIDZENIA WPŁYW ZMIAN CIŚNIENIA ATMOSFERYCZNEGO NA SERCE

gii lekarskiej. O ważności tego problemu świadczy m. in. najdobitniej rezultat prac i wieloletnich obserwacji trzech lekarzy czeskich — dr Mestena, Kralia i Horna. Badacze ci stwierdzili i udowodnili, że 61 proc. zawałów serca powstaje podczas przechodzenia frontów zimnych, a zaledwie 24 proc. związanych jest z frontem ciepłym.

Za frontem zimnym posuwają się zimne masy powietrza (płynące nad obszarami biegunowych), które jako cięższe wciskają się pod powietrze ciepłe i wpychają je ku górze, co z kolei wywołuje kondensację pary wodnej oraz opady atmosferyczne. Z „sercowego” punktu widzenia najbardziej niebezpieczne są szybko przesuwające się fronty zimne, w których zjawiska pogodowe wykazują gwałtowny charakter. Front taki zwany również linią nawalnic charakteryzuje się silnymi ulewami, burzami i co najważniejsze — raptownymi zmianami kierunków i siły wiatrów; wszystkim tym objawom towarzyszy często nagły spadek ciśnienia rejestrowany oczywiście przez serce, co daje się odczuć tym dotkliwiej, że po przejściu frontu zimnego następuje roz pogodzenie połączone z kolei z nagłym wzrostem ciśnienia. Tego rodzaju zmiany barometryczne i to w dodatku zachodzące w krótkim okresie czasu (rzędu kilku względnie kilkunastu godzin) siłą rzeczy wywierają zdecydowanie ujemny wpływ na pracę serca i tym też tłumaczy się tak wysoki procent zawałów związanych z tym zjawiskiem meteorologicznym. Z frontem ciepłym (ciepłe powietrze naślizguje się na leżące przy powierzchni ziemnej masy powietrza zimnego) związane są również chmury, opady i wzrost wilgotności powietrza oraz spadek ciśnienia, ale wahania barometryczne po przejściu frontu ciepłego nie są tak gwałtowne, jak we frontie zimnym, co nie oznacza bynajmniej, że pozostają bez wpływu na układ krążenia.

Ponieważ cecha klimatu Polski jest zmiennością i różnorodnością typów pogody, która kształtowana jest bądź przez napływ zachodnich, oceanicznych mas powietrza, bądź przez kontynentalne powietrze ze wschodu, przeto układy frontalne są dla naszych warunków meteorologicznych zjawiskiem dość częstym; w ciągu roku od strony Atlantyku przychodzi średnio 60—70 serii ni-

żów i związanych z nimi systemów frontalnych poruszających się z przeciętną szybkością 30 km/godz. (pomijając niżej stacjonarne).

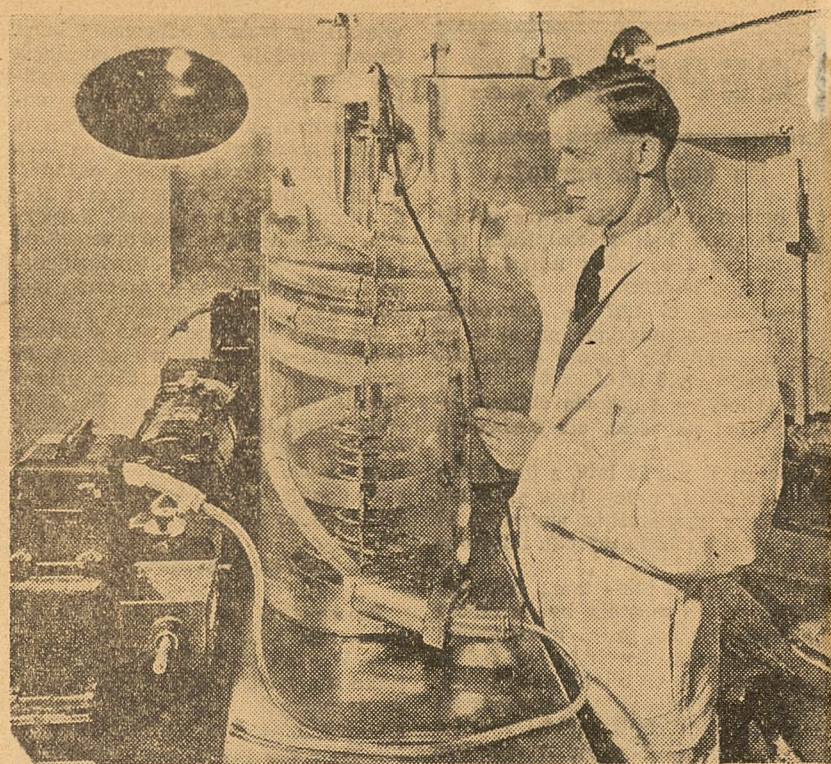
Istnieje wiele charakterystycznych zjawisk zwiastujących zbliżenie się frontu i pozwalających określić jego charakter (tj. ciepły lub zimny). Obserwator meteorologiczny potrafi określić to już na podstawie typu nadciągających chmur, ale trudno jest żądać tego rodzaju kwalifikacji od wszystkich ludzi cierpiących na schorzenie serca.

W tym miejscu nie pozostaje nic innego, jak zwrócić się z apelem do Państwowego Instytutu Hydrologiczno-Meteorologicznego, aby podobnie jak nadejście ostrzeżenia dla narciarzy, szoferów, rolników czy ogrodników, informował w swych — w bezwzględnie zdecydowanej większości trafnych prognozach — o nadchodzeniu układów frontalnych. Na krakowskie Okręgowe Biuro Pogody PIHM spadłby ponadto obowiązek ostrzegania również przed wiatrem halnym, którego wpływ jest nieraz równie silny jak i ujemnie odczuwany przez mieszkańców Krakowa będących w konflikcie ze swym sercem.

Można bez przesady stwierdzić, że zagrożenie jest pierwszorzędnej wagi. Uzyskana w porę informacja pozwoli wielu ludziom na powzięcie odpowiednich kroków natury profilaktycznej (zażycie środków podtrzymujących akcję serca, ograniczenie wycieczek pracy itp.), a poza tym uspokoi ich psychicznie, bowiem będą zdawać sobie sprawę, że nie mają do czynienia z istotnym pogorszeniem się stanu chorobowego lecz jedynie z przejściowym, ujemnym oddziaływaniem warunków pogodowych. Jest również rzeczą pewną, iż i Służba Zdrowia wyciągnie odpowiednie wnioski z tego rodzaju komunikatów.

Wprowadzenie takich ostrzeżeń do codziennych prognoz radiowych wydaje się być rzeczą konieczną i nie powinno stanowić przedmiotu tak niestetycznych na nas jałowych i nieistotnych sporów. Życie człowieka cierpiącego na schorzenie serca nie jest chyba mniej ważne od życia narciarza czy szofera a w każdym razie nie przedstawia mniejszego problemu jak zmarnienie w czasie nocnych przymrozków główki kapusty.

Mgr L. Dubiński



Zbudowano ostatnio w Anglii aparat, zastępujący ludzkie płuca i serce, podczas skomplikowanych operacji chirurgicznych. Konstrukcja aparatu jest podobno niezwykle prosta. Koszt wykonania (przy produkcji seryjnej) nie powinien przekraczać 500 dolarów. Anglicy podają, że metoda zastosowana w konstrukcji aparatu została uprzednio wypróbowana i zastosowana przez naukę radziecką.

ANKIETA

Hanna Lutosławska aktorka:

Nie podzielam zdania ludzi, którzy oburzają się na „Lajkonika” twierdząc, że uczy on hazardu. Jeśli ktoś ma skłonności do hazardu to i tak znajdzie sposób na hazardowanie się. A tak przynajmniej dzieje się to z pozytywnym skutkiem, bo trudno by było zdobyć innym sposobem tak poważne sumy na budownictwo, mieszkanie i ratowanie bardzo cennych zabytków.

Jerzy Hordyński poeta:

Pewien naiwny dziennikarz niedawno pisał że „Karolinka” i „Lajkonik” mają ogromne powodzenie, dzięki drzemającej w ludziach żyłce hazardu. To twierdzenie wydaje mi się czystym nonsensem — polska bieda zawzięta na popularności gry. Ludzie myślą że cudownym sposobem poprawia swą sytuację materialną i tym cudem ma być „Karolinka” czy „Lajkonik”. Oso- biście jestem sceptykiem i nie gram — poza tym wolę szczęście u kobiet niż do gry — a te rzeczy podobno się wykluczają.

Jan Jaźwiec, literat:

Tak całkiem uczciwie to nie jest ale mam wrażenie, że w tej chwili zlikwidowanie „Lajkonika” spotkałoby się z gwałtownym protestem. Myślę, że na początek można by dać kompromisowe rozwiązanie zmieniając system podziału wygranych: zmniejszyć sumę przeznaczoną na nagrody 1-go stopnia, na rzecz „trójek” i „dwójek”.

Mgr Jan Takliński prawnik:

Podzielać w pełni zdanie Dąb-Kociola wyrażone niedawno na łamach „Po prostu”. Tego rodzaju gry są niemoralne, zwłaszcza w naszej sytuacji gospodarczej.

Co myślę o „Lajkoniku”?

Wyciąga się te złotówki z kieszeni najbiedniejszych, którzy marzą o wielkiej wygranej, nie zdając sobie sprawy ze znikomości szans. Przeżyłem przykry wstrząs widząc kiedyś ogonek przed jedną z kas „Lajkonika”: takiej kolejki nie widuję się nawet w poczekalniach wdziałów pomocy i opieki społecznej.

Inż. Jerzy Sokołowski (Instytut Badań Jądrowych)

Podstawowym zastrzeżeniem jakie żywie w stosunku do tego rodzaju gier, jest niespotykana gdzie indziej łatwość dokonywania różnego rodzaju nadużyć. Dowodem jest choćby fakt, że ilość „Czwórek” jest stale wyższa, niż wypadałoby to z rachunku prawdopodobieństwa. Po za tym nie dostrzegam specjalnej szkodliwości gry — stawka jest niewysoka, a emocji dużo.

D. G. działacz społeczny:

Mam kilka różnych sądów. Z racji moich funkcji nie mogę nie popierać imprezy, której patronuje Rada Narodowa, przynoszącej masie spore korzyści. Jako działacz społeczny jestem jednak przeciwny tego rodzaju grom opierającym się na bądź co bądź niezbyt szlachetnych cechach ludzkiego charakteru, jak żylka do hazardu i chęć szybkiego wzbogacenia się. Szczególnie przynajmniej jednak, że osobiście bardzo się „Lajkonikiem” pasjonuję i nie opuściłem dotąd ani jednej gry.

Dr Wacław Bednarczyk konferansjer:

Nie znajduję wprost słów oburzenia dla wyrażenia mojej opinii. Powiedzieć, że to skandal i granda — to za mało. Uważam że tego rodzaju gry powinny być surowo zakazane i będą o to walczył. Chyba że wreszcie w tę niedzielę coś wygram.

NOWOŚCI NAUKI I TECHNIKI Z CAŁEGO ŚWIATA

Przyjął się pogląd, że czysta chemicznie woda to bezbarwna ciecz, pozbawiona zapachu i smaku. Tymczasem według twierdzeń uczonego szwedzkiego Sotermana zwierzęta posiadają nerwy, pozwalające rozróżniać smaki wody, analogiczne do nerwów za pomocą których zwierzęta odróżniają smaki soli.

W USA wyprodukowano pompy, pozbawione ruchomych części. Pompy te przeznaczone są do przetaczania płynów będących dielektrykami. Płyn przetaczany jest z miejsca na miejsce za pomocą przesuwającego się... pola elektrycznego.

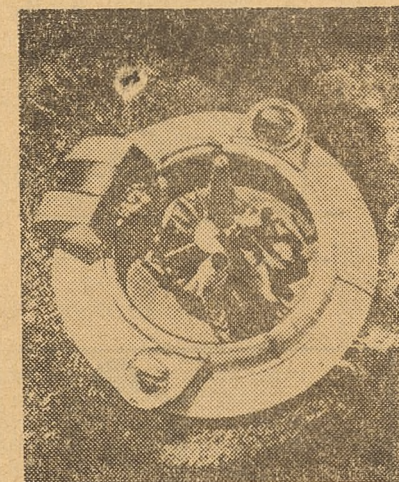
Dawniej sądzono, że mechaniczne zegary z wahadłem i ciężarkami wynaleziono w Europie około roku 1300. Obecnie przekonano się iż ojczyzną tych zegarów są Chiny. Wynalazek pojawił się tam między 725 a 1038 rokiem. Zegary wahadłowe opisuje mianowicie w swej księdze chiński uczone — astronom Su-Sung, który żył w latach 1030—1102.

Gdyby słońce zgasło, to Ziemia pokryłaby się oprócz śniegu i lodu 12-sto metrowej grubości warstwą zamrożonego powietrza.

Według danych profesora uniwersytetu pittsburskiego W. Kelly (USA) ankieta w szkołach średnich na temat nauki przedmiotów ścisłych dała następujące wyniki: w 1954 roku na 5 milionów 700 tys. uczniów zaledwie 4 proc. wyraziło chęć uczenia się fizyki, podczas gdy w 1890 na 203 tysiące uczniów fizyki chciało się uczyć aż 22 procent. I pomyśleć że niechęć do fizyki wzrosła właśnie w erze atomowej.

Słońce daje w ciągu 3 minut tyle energii ile cały świat nasz zużywa jej w ciągu całego roku.

Grzybki drożdżowe są niezwykle żarłoczne. W ciągu 12 godzin ich „porcja” — ważąca 56 kilogramów przetrawia 1,5 tony środków żywnościowych, około 27 tysięcy litrów wody i 765 metrów sześciennych powietrza. Ciężar grzybków wzrasta w tym czasie do 450 kilogramów.



Łódź rybacka przypominająca latający talerz. Podobno ten nowy typ łodzi okazał się najodporniejszy do celów rybackich.

CYTATY

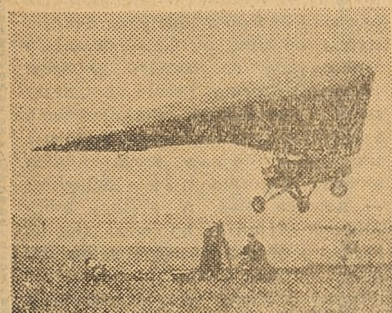
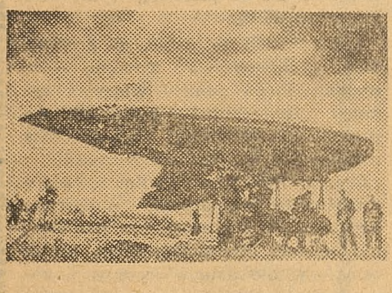
Z referatu: „Jednym z najważniejszych zadań jakie wypływa z uchwały XX Zjazdu KPZR jest zdecydowane przeciwycieństwo skutków kultu jednostki Stalina we wszystkich dziedzinach życia. Będąc wielkim rewolucjonistą i wybitnym budowniczym państwa radzieckiego J. W. Stalin odegrał olbrzymią rolę na odcinku umocnienia treści socjalistycznej naszej literatury. Jednakże negatywny wpływ kultu jednostki na rozwój literatury, szczególnie w latach powojennych, jest niewątpliwym.

„Próby zniesławienia lub co najmniej obniżenia znaczenia całego doświadczenia rozwoju literatury radzieckiej zostały podjęte już przed rokiem przez polską, węgierską i jugosłowiańską prasę literacką (i nie tylko literacką). Te próby kontynuowane są przez reakcyjną prasę burżuazyjną, która wykorzystuje każdą możliwość dla dyskredytowania społeczeństwa socjalistycznego i jego instytucji.

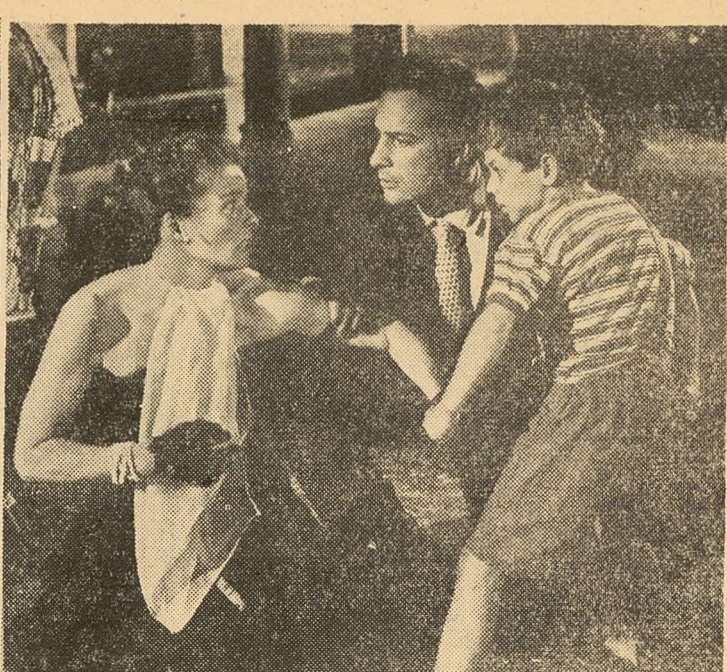
Z III Zjazdu Pisarzy Radzieckich (wg. Literaturnej Gaziety)

Nie widzimy podstaw do stawiania znaku równości między pierwszymi a drugimi głosami, przejawianymi nerwowości i niesprawiedliwości, ale nie słuszne oceny dróg rozwojowych literatury radzieckiej i jej podstawowej metody — socrealistycznego realizmu — muszą być poddane przez nas zasadniczej i konsekwentnej krytyce, niezależnie od tego, z czyich ust pochodzą.

„Oczywiście nie możemy być obojętni na napaści skierowane przeciwko socrealizmowi, które już od roku prowadzone są uporczywie przez jego przeciwników — od Jana Kotta, Przybosa i Toepflitzu w Polsce zaczawszy, a na Łukaszu (Węgry), Widmarze i Mladenowiczu w Jugosławii skończywszy.



Latający materac. Samolot wykonany z miękkiego materiału nadmuchuje się powietrzem, wmontowuje silnik i... może latać.



FILM

„Gdyby był wyświetlany na jednym z festiwalów powinien być otrzymać pierwsze nagrody dwu największych gwiazd: Katarzyny Hepburn i... Wenecji, zaopiniował jeden z zachodnich krytyków film anglo-amerykańskiej produkcji pt. „Urolop w Wenecji” („Summertime”).

Istotnie, Wenecja w „Technicolorze” zdaje się stanowić piękniejszy od rzeczywistego plener dla rozgrywającego się miłosnego romansu, zaadaptowanego wg. sztuki „The Time of

the Cuckoo” Roberta Witheada i Waltera Frieda, granej z wielkim powodzeniem przez kilka miesięcy na Broadwayu.

Film opowiada historię wytwornej sekretarki Jane Hudson, która przybywa z kraju dolara, by po raz pierwszy spędzić urlop w Europie.

Obco czuje się w nowym środowisku i nie bardzo wie jak zapełnić samotność. Życie nie znosi pustki, a przypadki często wpływają na jego treść, więc i w filmie... zjawia się przystojny Włoch z zawodu antykwariusz (Rossano Brazzi).

Rodzi się miłość — rodzą się komplikacje i powstają wątpliwości.

Wątpliwości rozstrzyga praktyczny kompromis.

Przygoda i romans wypełniają dni urlopu Jane, zostawiając najlepsze wspomnienia, z którymi wraca do Ameryki.

MUZYKA

KŁOPOTY Z TRANSMISJAMI...

Wydał ktoś kiedyś przedziwną zaiste ustawę, głoszącą, iż Polskie Radio ma bezpłatny wstęp na wszelkie imprezy — może na nich nagrywać to, na co tylko ma ochotę, po czym odtwarzać w eterze. Perspektywy — przyznać — oszałamiające. Radiowcy przychodzili niemal na każdy koncert, a w każdym razie na każdy ciekawszy — po czym wykonywali mieli przyjemność słuchania swej gry, przy głośniku. Niestety — pieniądze za takie granie nikt nie otrzymywał. Bo i po co? Ostatnio jednak dyrektorzy filharmonii zbudowali się: chcecie nagrywać? Proszę płacić. Radio bogatsze przecież od filharmonii...

I wtedy Radio w ogóle zrezygnowało z nagrania... Od miesięcy trwają dyskusje nad tym czy płacić i ile, a wiele doskonałych koncertów nie zostało, rzecz prosta, utrwalać na taśmie. Mielśmy w Polsce w tym czasie szereg niezwykle ciekawych polskich prawykonań (choćby „Wesele” Strawińskiego w Filharmonii Narodowej), mieliśmy szereg z tych czy innych względów bardzo interesujących interpretacji (choćby Pasja św. Mateusza w Filharmonii Krakowskiej), niestety nie dano się udostępnić tych koncertów melomanom całej Polski. Radio nie może bowiem — a może nie chce? — płacić wykonawcom.

Tracą na tym oczywiście tylko słuchacze. I dlatego pytamy: jak długo jeszcze będziemy czekać na transmisje i retransmisje koncertów? Może i Radio zrozumie, że honorowanie transmisji obowiązuje na całym cywilizowanym świecie. A do takiego chcemy się przecież zaliczać...

I. DOBRE TAŚMY

Nie byłibyśmy jednak obiektywni, gdybyśmy nie zauważyli, iż brak transmisji z naszych sal koncertowych, Polskie Radio zasępuje coraz ciekawszym zestawem taśm zagranicznych. Sensacją ostatniego tygodnia było poniedziałkowe wykonanie „Konsula” Menottiego. Ten sławny już w całym świecie dramat muzyczny, posiada bardzo interesujące, tragiczne libretto (napisane przez samego kompozytora) i naprawdę świetną muzykę. Premiera „Konsula” odbyła się w Filadelfii w marcu 1950 roku. Już w kilka miesięcy później wykonano go także w Bazylei i Hamburgu, co rozpoczęło zawrotną karierę Gian Carlo Menottiego — wybitnego kompozytora amerykańskiego, pochodzenia włoskiego. Sądzę, że Polskie Radio nada „Konsula” powtórnie. Oby jak najszybciej.

TYLKO NIE NA WAWELU

Przerazenie nas ogarnia, gdy słyszymy do roczne zapowiedzi tzw. wielkich koncertów symfonicznych na Wawelu. Podobno tym razem ma tam nawet wystąpić Filharmonia Praska... Ojóż Wawel bynajmniej nie jest najwłaściwszym miejscem do tych rzeczy. Akustyka dziedzińca pozostawia nieco do życzenia — dźwięk rozmaduje się i ginie, publiczność czyni ustawiczny hałas suwając nogami po szutrze nawierzchni, zegary z wież wydzwaniają co 15 minut, krzesła są kuchenne, ogromnie niewygodne, dojdzie bardzo męczące, obawa deszczu lub wiatru stale aktualna... i po co to wszystko? Mimo potwornego upału panującego w czerwcu w sali Filharmonii Krakowskiej, sala ta jest znacznie bardziej odpowiednia do imprez muzycznych.

Szkoda natomiast, że zaniechano naprawę uroczych koncertów kameralnych na dziedzińcu Biblioteki Jagiellońskiej. Tutaj przestrzeń jest mniejsza, akustyka znacznie lepsza, nastrój naprawdę świetny. Radzimy o tym pomyśleć, panowie dyrektorzy!

DLA KOGO DRUKUJĄ PROGRAMY?

Nowe obyczaje wprowadziła ostatnio Filharmonia Krakowska, drukując programy dla wykonawców, a nie dla publiczności... Tak przynajmniej stało się na występie orkiestry z Cleveland; kiedy to program obejmował przede wszystkim całonocowe zdjęcie i rysunki... starego Krakowa. No,

cóż... o Amerykanów trzeba dbać. Można by jednak zadbać także i o słuchaczy i wydrukować np. jakieś omówienie programu (w którym znalazło się kilka rzeczy nowych) lub dać zdjęcie czy rysunki, ale... z Cleveland.

CO CZYTAĆ

Henryk Vogler wydał książkę pt. „Ocalony z otchłani”. Są to opowiadania okupacyjne, drukowane w różnych czasopiśmie. Z lektury ich wynika wyraźnie, że krakowski pisarz wydał dobrą książkę, która w porównaniu z powieścią pt. „Niepospolici” jest lepsza. Nie deprecjonuję w tym miejscu absolutnie dość interesującej powieści „Niepospolici”, — ale opowiadania Voglera są bardziej lapidarne, budowane są niezmiernie interesująco, nie ma w nich zbędnych słów. „Ocalony z otchłani” mógłby zmienić tytuł „Fizjologia strachu”. Jest to w gruncie rzeczy jedno z wnikliwszych studiów, poświęconych tragedii okupacyjnej, które obok twórczości Adolfa Rudnickiego i Stanisława Wygodzkiego będzie signum temporis — czasów odległych, a jednak w skłóconym świecie ciągłych, grozących nam powrotem. (Opowiadania Voglera wydał „Ślask”).

„Dax” uraczył nas „Aecjuszem ostatnim Rzymianinem”. Autor tej książki — twórca wydawanych po wojnie „Srebrnych orłów”, książki recenzowanej w naszych piśmie, a wydanej na emigracji, „Koniec zgody narodów” — Teodor Parnicki, tym razem zajął się w tej powieści Hunnam, Teodorykiem, upadającym Rzymem itd. Broń Boże nie sądzę, że takie wyliczanie jest jakimś lekceważeniem pisarza — jest to książka niezwykle trudna do opisanie, nawet najbardziej powierzchownego. Trzeba przeczytać ten znakomicie, pięknym językiem napisany utwór, trzeba zagłębić się w wyborną zaiste lekturę, by dostrzec oczywistą maestrię Parnickiego, który z taką swobodą roztoczył przed nami obraz odchodzących światów.

„Iskry” są wydawnictwem młodzieżowym. Dlatego też zajmują się one m. in. wydawaniem lektur mroczących krew w żylach. Ojciec! Wcale nie chcę, aby wydawały powieści obrazkowe historyki pt. „Antek w SP buduje Nową Hutę”, czy „Jaś i Małgosia na traktorze”. Ale wydaje mi się, że klasyczny Sherlock Holmes wystarczy, że rodzime powieści kryminalne wystarczą, a „ekurs” „Arsena Lupina” — dzieńlemana wamiywa — — — można było zostawić na razie w spokoju. Leblanc w ogóle reprezentuje takie „szczyty” literatury europejskiej, że doprawdy iza się w oku kreci. Poza tym, rzeczywistość świat się nie wywróciła, że „Iskry” wydały „Arsena Lupina”. Czy od każdego bledu wydawniczego ma się przewracać świat?

„Wygnanie” Liona Feuchtwangera jest trzecią częścią cyklu „Poczekalnia”. Druga część jeszcze nie wyszła, a „Wygnanie” już wydał Czytelnik. Druga część pt. „Rodzeństwo Oppermann” nie ujrzała jeszcze polskich półek księgarskich. Książka Feuchtwangera dotyczy lat 1914—1939 „najbardziej ponurego okresu dla Niemców od czasu wojny 30-letniej”.

Dlaczego „przekraczanie normy” jest w takim wypadku niepożądane? Niech odpowiedzą Czytelnicy i wydawnictwo.

Wydawnictwo Literackie w Krakowie wydało dobrych kilka miesięcy temu „Macierzy” Rodziewiczówny w dużym nakładzie, w cenie 3 zł. za egzemplarz. Czyżby więc ta sama interesująca opowieść o kobiecie żyjącej w opuszczeniu i pogardzie z dala od ludzi czekającej na powrót skazanego na katorżę męża — miała dzisiaj kosztować przeszło trzy razy więcej? Okazuje się, że WL dodało do tego samego prawie papieru trochę lepszą okładkę i od razu cena książki skoczyła na 9.80 zł. Prosimy taniej!

(Rafał).

TENDENCJE MŁODEGO MALARSTWA

Oto dalsze odpowiedzi na ankietę „Preuves”.

PRZEDMIOT I PODMIOT W MALARSTWIE WSPÓŁCZESNYM

Pytanie: Czy sądzi Pan, że przedstawianie przedmiotu jest przebrzmiałe? Czy zdaniem P. na liczy się dzisiaj wyłączenie przedstawiania podmiotu? Czy jest możliwa forma przedstawiania obejmująca podmiot i przedmiot? Odpowiedzi:

1. W malarstwie rozróżnienie między przedmiotem a podmiotem nie ma sensu.

SERPAN: Wszelkie przedstawianie obejmuje w różnym stopniu podmiot i przedmiot. Nie chodzi więc o „możliwości” ale o stany faktyczne, które wystarczy stwierdzić. Trzy pytania są zbyt scholastyczne; ograniczanie ekspresji do antynomii przedmiot-podmiot traci myślną, zarówno w malarstwie jak i w wielu innych dziedzinach... Autorowie kwestionariusza prawdopodobnie nie rozumieją, że może istnieć taki kierunek działalności „artystycznej”, dla której antynomie podmiot-podmiot, abstrakcyjny — przedstawiający, formalny — nieformalny, nie mają żadnego znaczenia. Nie przeszkadza to, że różne dziedziny wiedzy podsuwają dziś świadomości twórczej cały wachlarz niewyzyskanych jeszcze wiadomości, których przeżycie i zastosowanie będzie niesłychanie płodne zarówno dla malarza jak i dla widza.

2. Przedstawianie obejmuje z konieczności podmiot i przedmiot.

WISEUX: Dziś malarstwo samo uważa się za przedmiot. Problem i jego rozwiązanie stają się w jedno. Wychodząc od płynnej materii trzeba stworzyć substancję, z której wyłoni się byt-podmiot, sens dzieła.



C. VISEUX

SZTUKA

Istnieje więc jeszcze przedmiot i podmiot, ale jedynie w filozoficznym znaczeniu słowa. GÖTZ: Przedstawianie przedmiotu w klasycznym znaczeniu słowa, jest przestarzałe... Opowiadam się za przedstawianiem obejmującym podmiot i przedmiot w następujący sposób:

Podmiot i przedmiot grają sprzeczne role. Zaczyna się to już między malarzem a płótnem (płótnem jako przedmiot) i rozgrywa się dalej na płótnie. Kreska uczyniona pędzlem, lub plama, muszą być uważane za przedmiot, i tak też traktowane. Otoczone są przez biel płótna (lub tło), lub przez inną formę, albo przez szereg innych form, które się z nimi zderzają. Tutaj gra przedmiot-podmiot rozwija się w ten sposób, że forma „ważna”, która dominuje, która działa, msi w swoim dynamizmie być uważana za podmiot. Forma lub formy, które są uderzane, odychane (nawet w tle) muszą być uważane za przedmiot. W pewnej swojej części forma może się objawiać jako podmiot, w innej jako przedmiot. Dwie sąsiadujące formy mogą być równocześnie podmiotem i przedmiotem, i odwrotnie. Ta dialektyczna gra może się rozwijać na płótnie jako wątek. W ten sposób ginie klasyczne zjawisko „tła”. W Stanach Zjednoczonych niektórzy współcześni malarze nazywają ten problem „the background problem” (problem drugiego planu); odpowiada to naszej grze przeciw „pozytyw-negatyw” i „podmiot-przedmiot”.

„Nowa przedstawianie, lub przekształcanie, nie wyczerpuje się w tych sprawach formalnych, lecz musi zawierać w sobie echo wewnętrzne świata oraz symbol.

3. Jedynie podmiot może interesować.

STERPINI: Przedstawianie przedmiotu jest przebrzmiałe. Mówienie: nos, oko, szklanka, drzewo, rower, nie ma już żadnego sensu. Myślę, że najważniejszą rzeczą jest przedstawianie podmiotu. Jeśli idzie o syntetyczne przedstawianie będące jednolitym formalnym rozwiązaniem połączenia przedmiotu i podmiotu, to nie tylko, że jest ono możliwe, ale wystarczy spojrzeć na obraz kubistyczny lub futurystyczny, by zdać sobie sprawę, że możliwość taka została już w malarstwie wykorzystana.

KARL: Wyłącznie figuratywne odtwarzanie przedmiotu jest przebrzmiałe. Współczesny świat może słuchać jedynie subiektywnego krzyku. By wyjaśnić to stanowisko dodaje, że to co subiektywne musi mieć pierwszeństwo przed tym co obiektywne.

4. Próba ujęcia razem podmiotu i przedmiotu jest rzeczą konieczną.

VEDOVA: Przedstawianie ograniczone do zewnętrznych cech przedmiotowych jest według mnie sprawą przebrzmiałą. Trzeba najpierw stwierdzić jakie cechy „podmiotu” mogą wyrazić intymny świat wewnętrzny, albo odczucie kosmosu, lub odczucie tego co w ludzkości uniwersalne, poprzez znak-kolor całkowicie autonomiczny i niezależny od świadectw obiektywnych. Przedstawianie łączące podmiot i przedmiot jest możliwe ale w sensie przedmiotu-symbolu. Stosunek więc będzie całkiem inny.

CKIENKO PROBLEMÓW AKTUALNYCH

Hotel w Miami i żyrandole z „Orbisu”.

Przeraził długim, dyplomatycznym ZIS zatrzymał się opodal schroniska. Z wozu wysiadł siwy pan w eleganckim, ciemnoniebieskim ubraniu i korpuientna dama. Na wyrażenie dygnitarz z małżonką po raz pierwszy zwiedzają Morskie Oko. Na pomoście, nad samym jeziorem, podczas karmienia tłustych, beziecznych pszczoł, które podpyływają całymi stadami (tu ich przecież nie wolno łowić) — zaczęła się znamięć. Siwy pan mówił doskonale po polsku. Czterdzięci lat temu wyemigrował. Miał wówczas siedemnaście lat. Ojciec nie chciał go puścić. Wrócił temu upartemu parobczakowi, temu chłopcu od krów, zagładę w „dalekiej Ameryce”. Ale chłopiec był zacięty. Pojechał. Najpierw zmywał naczyne w podrzędnej czikagowskiej knajpie. Później kelnerował. Uskładał sobie forsz na własny mały interes. Ileż się nabiedował, ile naharował. Obecnie jest właścicielem białego, otoczonego palmami pensjonatu na Miami Beach — słynnym wybrzeżu milionerów na Florydzie. Skarży się, że wojenna i powojenna młoda nasza emigracja jest mało ruchliwa, nie bardzo kocha pracę. A bez pracy... — znamy tę opowieść. Pan W. ma w kraju liczną rodzinę: na wsi. W tym sezonie zanim po raz pierwszy odwiedził Polskę, był w Paryżu, poznał kawał Francji.

— Jak się panu wydaje u nas?

— Taka sama mniej więcej bieda jak we Francji.

Wujcio z Ameryki nie rozróżnia po prostu stopni europejskiego niedostatku. Patrzy ze zbyt wielkich wyżyn swego hotelu dla milionerów.

— Ile pana kosztowała ta wycieczka do Europy?

— Obliczyłem sobie, że powinniśmy wydać około 5 tysięcy dolarów.

— A skąd ten ZIS?

— Wypożyczony z waszego „Orbisu”.

Początkowe oszłomienie („taka jest natura ludzka — jak mówił Steniewicz, — że ja widok cudzej potęgi i bogactw cieniowa”) szybko usunęła dalsza rozmowa. Przestała być opowieścią z tysiąca i jednej nocy. Zeszła na nasz realny grunt.

— Chcecie zarabiać dolary? — mówił pan W. — każdy towar, z wyjątkiem oczywiście waszych „Warszaw”, mógłby znaleźć nabywcę w Stanach, gdybyście go odpowiednio zareklamowali. Ja sam cośbym tu chętnie kupił en gros i sprzedał potem z zyskiem u siebie. Ot, choćby te wasze żyrandole w „Orbisie”. Szłyby u nas świetnie. Gdzie się je robi?

Nie potrafiłem poinformować. Pokazujemy gościom zagranicznym piękne widoki i wzor-

cowe fabryki, a nie informujemy po kupiecku — choćby przy pomocy prospektów — (których zagranicą nikomu nie skąpią), co gdzie można kupić i w jakich ilościach. Nasze drobne artystyczne, przemysłowe, ceramika itd., rzeczy które na ogół lekceważymy — mogłyby przynieść nam spory zapas dewiz. To jest towar naprawdę atrakcyjny dla gości. A każdy niemal z tych gości ma pieniądze i przybywając do Polski chciałby przy sposobności zrobić niezły interes. Taka już jest mentalność tych naiwnych, bogatych wujcio z Oceanu. Lubią łączyć przyjemne z pożytecznym. Tylko my nie bardzo lubimy i potrafimy. A okazji nadarza się coraz więcej. Targi poznańskie nie złatwią tu wszystkiego. Powinniśmy zasypywać prospektami przybywających do kraju gości zagranicznych, rzetelna informacja o naszym handlu i przemyśle przyniesie nam często więcej korzyści niż propagandowy chwyt, polegający na oprowadzaniu zmęczonych gości po Nowej Hucie. Ludzie przyzwyczajeni do reklamy, korzystający z jej usług — najlepiej zareagują na środki u nich właśnie stosowane. To wszystko przemyślałem sobie, żegnając wujcia z Ameryki. Przyjechał odwiedzić starą ojczyznę, przy tym chciałby zrobić jakiś interes, a nam przysporzyć dolarów. Uczmy się być praktyczni.

A żyrandole? Mogą się nam podobać lub nie. Znalazłoby jednak nabywców, jak wiele innych rzeczy, na które my się na codzień wybrzydźmy.

A. H.

O pewnej pięcie Achilleś słów kilkoro

Kiedyś, w przyszłości, dojdzie do tego, że małe dziecko zapyta swego ojca — „Tatusiu, a kto to jest lutnik”. A tatuś mu odpowie: „Wiesz syneczku, to taki gatunek człowieka-rzemieślnika, który kiedyś, dawno temu, zajmował się naprawą instrumentów muzycznych, ale dziś ten gatunek prawie już wymarł i tylko jeszcze parę jego przedstawicieli chodzi podobno po ziemi polskiej”.

Nie każdy co prawda jest u nas właścicielem gitary, wolonczeli, skrzypiec, a już właściciel organów można policzyć na palcach. Cóż, kiedy nie tylko gitary, wolonczeli, skrzypce, lecz nawet organy trzeba czasem oddawać do naprawy. I wtedy nie wystarczy tak jak z dziurawym butem iść dwa lub trzy kroki od miejsca zamieszkania, a już trafi się na zakład naprawczy, ale trzeba dosłownie przelażnąć pół województwa, zanim znajdzie się fachowca zdolnego do naprawy zepsutego instrumentu.

Mechaniczna wróżka

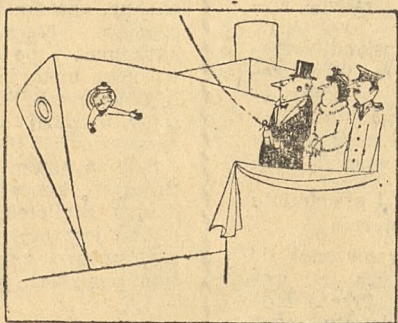
Grupie inżynierów-techników z Brytyjskiego Towarzystwa zajmującego się zagadnieniem rozwoju nauk technicznych udało się skonstruować po długich i uporczywych pracach nową „techniczną perelkę” — maszynę przepowiadającą szczęśliwe, względnie nieszczęśliwe życie osób zawierających związek małżeński.

Tę „mechaniczną wróżkę” nazwano „Topsy and Anny”.

Proces przepowiadania polega na tym, że kandydatów do małżeństwa podda się elektronowemu badaniu, celem ujawnienia ich zdolności umysłowych i wykrzycia stanu emocjonalnego. Jeżeli uzyskane wyniki narzeczonych są podobne — to czeka ich spokojne życie małżeńskie i bezgraniczne szczęście. Jeżeli natomiast wyniki badań są diametralnie różne — „wróżka” przepowiada burzliwe i wojownicze życie przyszłych małżonków.

Oczywiście, mechaniczna wróżka oparta jest na przesłankach na kowych.

Ale wynalazcom przyświecała chyba ukryta myśl, że znajdzie się w świecie dostateczna ilość naiwnych par narzeczonych, szukających szczęścia małżeńskiego za pomocą „wróżki”.



CYTAT

„Aby w dzisiejszych czasach zostać dobrym ministrem spraw zagranicznych należy nie za wiele wiedzieć o cudzoziemcach.” (Brytyjski pamfletista Randolph Churchill, syn byłego premiera)

Czy przypuszczaliście — bo my też do niedawna nie byliśmy takimi pesymistami, — że w Krakowie istnieje jeden (słownie jeden) specjalista od naprawy organów? A specjalistów od wszystkich innych instrumentów jest tylko kilkunastu w województwie.

To i tak jeszcze zresztą pół biedy. Na gitarze albo na flecie można ostatecznie nie grać i zamiast tego włączyć radio, chociaż nie wiadomo, czy byłoby tym zachwycone nasze sferę muzyczne, zainteresowane w muzykalnieniu społeczeństwo i w kształceniu nowych kadr dla naszych orkiestr.

Ale ciekawe, co by powiedzieli wszyscy ludzie z wadami wzroku, wszystkie instytuty naukowo-badawcze, wyposażone w mikroskopy i inne przyrządy optyczne, gdyby daremnie szukali specjalistów zdolnych do naprawienia uszkodzonych przyrządów optycznych. W Krakowie jeden jedyny Voigt może podjąć się bardziej skomplikowanych napraw i prac w zakresie optyki. Na całą Polskę jedynie w Warszawie istnieje szkoła kształcąca rzemieślników w tym zawodzie, a i to podobno wypuszcza specjalistów, których nie bardzo bezpiecznie jest dopuszczać do zepsutych przyrządów optycznych.

Podobnie katastrofalna sytuacja istnieje w takich zawodach rzemieślniczych jak graverstwo, szkutnictwo, brązownictwo czy parafolnictwo. Ale co tu szukać aż takich oryginalnych specjalności. Warsztatów, które by się mogły podjąć naprawy centralnego ogrzewania, jest w województwie 17 (słownie siedemnaście) i ani rusz nie chce być więcej, podczas gdy warsztatów stolarskich czy ślusarskich nieustannie teraz przybywa.

Skąd te dysproporcje? Skąd niechęć do kształcenia się rzemieślników w zawodach, które z tej racji, że mają niewielu reprezentantów powinny być bardzo zyskowne. Po pierwsze, dlatego, że gdyby nawet byli kandydaci, nie bardzo mają się gdzie szkolić, po drugie jednak i z kandydatami nie nadzwyczajnie, bo układ cen za surowce i materiały w porównaniu z obowiązującymi cenami usług, jest tego rodzaju, że bynajmniej nie zachęca do otwierania warsztatów, ani kształcenia się w specjalnościach, o których mowa. Wreszcie upośledzenie w zakresie zaopatrzenia materiałowego odgrywa tu również niepoślednią rolę. Jeden z tego wniosek narzuca się już sam przez się. Rzemieślnicza pięta Achillesowa sama nie zniknie. Wymaga więc i to precyzyjnymi narzędziami mądrej, dalekowszostnej polityki popierania rzemiosła nie w ogóle, a w sposób, który przede wszystkim ratowałby zanikające zawody rzemieślnicze.

B. M.

INTELIGENCJA

Gdy w czasie debaty nad podatkami od napitków w magistracie rothenburskim (Niemcy zach.) padło słowo koeficjent (współczynnik) wielu radnych wzięło je za nazwisko, któregoś z urzędników.

POEMAT

W małym kościółku w Maurepas siedmiu cygańskich skrzypków odegrało przy katarfalku Eryka von Stroheima jego ulubioną melodię „Poema”. Od 8 miesięcy ten znany reżyser i aktor, 62-letni mężczyzna, dogorywał sparaliżowany w swym zamku w Maurepas. Ostatnio został odznaczony Legią Honorową za swą pracę w filmie.

ZAKAZANE PSALMY

Czy wiecie, że kościół anglikański w Monte Carlo usunął ze swego „repertuaru” psalmy o numerach porządkowych 1—36? Cóż wywarło taki wpływ na liturgię tego kościoła? Otóż okazało się, że turyści stawali w Kasynie (ruletka bowiem ma właśnie 36 numerów) na cyfry psalmu przypadającego w nabożeństwie na dany dzień.

PIJANE KONIE

W Bawarii dwa spłoszone konie zabły przechoźnia i poraniły sześciu innych. W krwi koni znaleziono dużą dawkę alkoholu. Pochodzi to ze zwyczaju bawarskich woźniców „częstowania” koni piwem.

Fakty -- Plotki

NA SCHRONY

W okregu Ruhry pewien przemysłowiec opatentował beton wytrzymałyj temperaturę 3000 st. C. Przewidywany on jest do budowy schronów przeciwoatomowych.

PIJANY SŁOŃ

Burmistrz Ndoli (Rodezja) wykazał duże uzdolnienia pijańskie, próbując upić winem słonia. Przy szóstej butelce słon był kompletnie pijany, podczas gdy dzielny inżynier konkursu potrzebował 24 butelek, aby dojść do tego samego stanu.

W SERAJU

„Uprowadzenie z Seraju”, opera Mozarta, zostanie odegrana przez zespół operowy z Monachium w seraju dawnych sułtanów.

UWAGA WĘDKARZE

Pewien pomysłowy wędkarz (USA) opatentował instrument, który zamontowany do wędki przyciąga rybę swym brzęczeniem naśladowającym tnącego owada. Podobno działa znakomicie.

PRZEWIDUJĄCA

W pewnym banku w Pittsburgu główna księgowa zdefraudowała łącznie 17.000 dolarów, z których 4500 zainwestowała w akcjach tego samego banku!

DOM NYLONOWY

Na wystawie budownictwa (USA) mieszkaniowego wystawiono m. in. dom o ścianach nylonowych wypłnionych powietrzem, które są uodpornione na ogień, a nie dopuszczają zimna i wilgoci.

ZŁODZIEJ — POLICJANT

W czasie audycji telewizyjnej w Londynie pewien widz rozpoznał wśród aktorów człowieka, który go przed paru dniami okradł. W sztuce grał on rolę policjanta. Złodziej-policjant został natychmiast po audycji aresztowany.

URODZINY

Niejąka pani Payne (Anglia) obchodziła 21-lecie urodzin swego kota, najstarszego chyba na świecie.

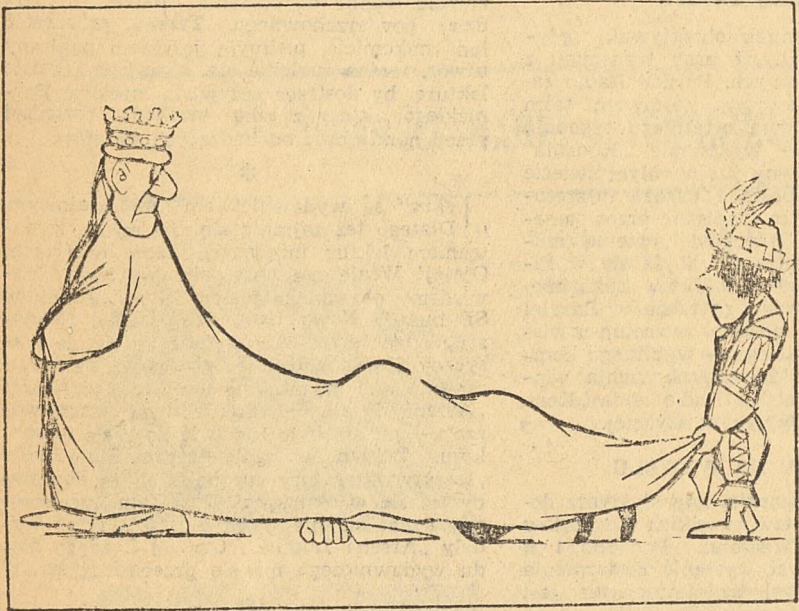
DLA DZIECI

Na wystawie światowej w Brukseli w r. 1958 przewidziana jest jako atrakcja dla dzieci 24-metrowej długości rakietka międzyplanetarna, która będzie dawać całkowite złudzenie podróży po niebiosach.

TAKIE JAJA!

Czasopismo „Lidova Demokracie” (CSR) podaje, że pewna czeska kura składa raz na tydzień jajo o wadze 22 dkg. Waga jajek znoszonych w inne dni jest normalna.

◆ HUMOR ◆ HUMOR ◆



LEPIEJ POTRAFI

Przed sądem staje kierowca taksówki, który potracił na jezdni starszego przechodnia.

Sędzia zwała winę na przejeżdżającego twierdząc, że już dziesięć lat wprowadzi auto i nigdy jeszcze nie miał wypadku.

Na to odzywa się poszkodowany: — Wysoki Sąd pozwoli, że odpowiem temu panu. Ja chodzę po ulicach już 60 lat i także jeszcze nigdy nic takiego mi się nie zdarzyło.

SUKCES CHEMII

— Jaką rzecz najważniejszą dała światu chemia?

— Platynowe blondynki.

TEŻ POCIECHA

Pewna piękna pani żali się swemu przyjacielowi, że ma już jeden siwy włos.

— Och, — odpowiada przyjaciel — jeżeli siwe włosy można jeszcze zliczyć, to tego się nie liczy...

BLIŹNIĘTA

— Proszę mi powiedzieć, panie doktorze, czy pan i pańska siostra — jesteście bliźniętami?

— Byliśmy jako dzieci. Teraz ona jest młodsza o pięć lat ode mnie...

AMERYKAŃSKA OCENA

Z inicjatywy pewnego pisma nowojorskiego przeprowadzono w Ameryce głosowanie na „najgorszą książkę”. Wynik był dość sensacyjny, gdyż pierwsze miejsce otrzymała — „Boska komedia” Dantego!

NOWOCZESNA KOBIETA

W kawiarni „Europejskiej” spotykają się dwie znajome elegantki. W trakcie rozmowy jedna z nich zapytuje zdumiona: — Jak to, nie znasz nawet nazwiska swego nowego adoratora?

— Po cóż mi to; znam przecież markę jego samochodu...

Zebrał

T. J. W.

MARIAN PROMIŃSKI

OPOWIADANIE

VI

Chłody w drugiej połowie stycznia okazywały się jedyną i całkowitą manifestacją zimy. Po czym, już w lutym, jak gdyby zniecierpliwiona za długim czekaniem w porze niejakej — wybuchła wiosna. Gdzie tylko bliżej było źródła żwawszej teraz i zbulgotanej wody, ziemia, choć sapowata, albo i piasek wprost na jakim takim podglebiu — pokrywała się zachłannym liszajem zieleni; nie nazwanej, bo nikt w obozie nie wiedział — co to rośnie i tak pięknie barwi skraj pustyni. Można się było zapomnieć i żyć przez trzy tygodnie niby na podolskim stepie. Krzaki migdałowca trysnęły różowo, a nawet porcelanowe agawy i inne cacti zakwitły na czubkach spetryfikowanych liści lepkiemi pędzelkami, bezwstydnymi w nagości dnia, jak mleczne sutki kobiety. Mały Zab, głębszy obecnie i szczypiący chłodny, znowu dostąpił przywilejów łaźni, pralni i salonu, i wyłożony po obu brzegach płachami bielizny demonstrował słońcu ile nagromadziło się przez ubiegły czas niedotartych w miednicach brudów żołnierskich i zaszniętego znoju. Każdy i przy łada sposobności rwał, łamał i rosochato ustawiał w puszkach z wodą lub w długich gilzach po granatach byle jakie pędy, ciesząc się ich żółcią, nieśmiało na pustyni młodością.

Orgia rzeczywistości trwała krótko. Już w końcu marca, nie mówiąc o suchym kwietniu, przyroda jak gdyby poddała się, zwiesiła głowę, zbladła, chowając soki w korzeniach i dawkując je oszczędnie w miejsca dostępne żarłocznemu strumieniowi promieni.

zabierając się do niej jeepem, co było wyjściem najlepszym, gdyż oprócz szybkości dawało możność powożenia dziewczyny trochę po mieście — usadził swego pupila na tylnym siedzeniu, jak to dawniej bywało, i z góry cieszył się na wrażenie. Chciał go przedstawić Liliannie, przełamać jej upór i udowodnić, jak natura umie życzliwie łączyć przeciwieństwa, dwa dalekie sobie szczeble w hierarchii rodzaju: człowieka i to... co to jest? — tę zieloną, zimną torbę, ożywioną tylko paciorkowymi oczkami o znikomej, ale prawej mądrości. Nie wątpił, że mu się to uda. Niestety zanotował później ów dzień jako najgorszy ze wszystkich spotkań. W samochodzie Lilianna wierciła się niespokojnie u jego boku, nie potrafiła pozbyć się roztargnienia i nieufnych spojrzeń za siebie, a wieczorem kiedy odjeżdżał, poprosiła, aby go więcej nie przywoził. Toteż gdy następnym razem szykowała się jazda z porucznikiem specjalnym, a więc szybką maszyną, i jaszczur widząc przygotowania zaczął mu się płatać koło wozu, rozegrała się scena, którą potem Antoni zawsze z przykrością wspominał.

Najpierw spróbował mu rzecz wyperswadować, zgodnie ze zwyczajem prowadzenia żartobliwego dialogu za nich obydwoh. Znosząc więc skrzynki ze sprzętem technicznym, przeznaczonym do wymiany i delikatnie uśuwajac jaszczura nogą z drogi, odezwał się po wrzuceniu ciężaru na wóz:

— Nie, kochaneczku, dzisiaj nie warto. Jadę jak po ogniu... No zaraz wracam... Powiadasz, że cię to nie obchodzi, że masz w nosie Bagdad, a idzie tylko o jazdę?... Zaczekaj, natychmiast wszystko ci wytłumaczę. — Dalszy ciąg rozmówki nastąpił za minutę, przy nowej skrzynce. — Widzę, że swoim natręctwem zmuszasz mnie do powiedzenia ci całej przykrej prawdy: twoja pani sobie nie życzy. — Potem humorek go opuścił, gdy siedząc już za kierownicą zobaczył, jak jasz-



zawsze otrzymywało się niższe noty w zbiorowych ćwiczeniach, to jeszcze okrutnie pocił się i cuchnął w namiocie. Młodości doświadczało się od tego śmierdzenia i dziewczęciu jego towarzyszy spod wspólnego dachu musiało coś na to wymyśleć. Zasięgnąwszy porady sanitariusza postawili mu słoik z roztworem formaliny przy łóżku i pilnowali gromadnie, żeby się poddawał przepisany zabiegom. — Niech się biedny chłopak nie męczy — mówili — takie upały! Masz tu pędzel, skurwysynu, i smaruj łapy trzy razy przed snaniem. — Mulczyk nie oponował. — Smaruję — powtarzał — smaruję, tylko nie wiem, czy to co pomoże. Mnie zawsze nogi śmierdzieli, już taka natura. — Pomagało o tyle, że woń środka dezynfekcyjnego

Bradley nie zmieniał się, opowiadał dykteryjki o Gurkach, żartował kosztownie, ale z odrobiną czułości ze swego kraju i ludzi, w szachy nie grał ani o łut lepiej niż w początku ich znajomości. Z pewnością nie był to człowiek o nazbyt lotnej inteligencji lub jakimś szczególnym talencie. Nie rozwijał się i nie zmieniał. Chociaż — raz — ale tutaj trzeba użyć tego słowa w innym semantycznym znaczeniu — Anteo Cwojka zastał Bradley'a cokolwiek o d m i e n i o n y m.

Wszedłszy do jego kancelarii po południu, kiedy skośne promienie osiągały już stół i fotela, zobaczył George'a siedzącego z rękami w kieszeniach, z prosto rozstawionymi nogami, i wpatrzonego tępo w krawędź mebla przed sobą. Musiało mu być okropnie gorąco. Z otwartego pudełka z szachami nie została wyjęta ani jedna figura.

George usłyszał dopiero trząśnięcie obcasów.

— Ach, jesteś! — powiedział i podniósł się z miejsca. Potem uczynił bezradny ruch ręką nad szachownicą. — Pozwolisz, że dzisiaj nie zagramy. Chcę ci coś powiedzieć, coś osobistego. Wyjdziemy razem, dobrze?

Cwojka skinął głową bez słowa, a Bradley przed progiem porwał jeszcze swoją trzciną z polki przy drzwiach.

Na placu kompanijnym zatrzymywano ich kilka razy. Porucznik udzielał wyczerpujących odpowiedzi podoficerom, nie zbywał nikogo, a potem dopiero kiedy wyszli w bezdroże, z uczuciem ulgi zaczął iść w jednym kierunku szybszym, nie spacerowym krokiem, bijąc się od czasu do czasu trzciną po goleni. Cwojka niemo podążał za nim.

— Tony — powiedział w końcu Bradley, patrząc przed siebie. — Mój dom został zbombardowany. (My house was bombed.)

Cwojka przystanął.

— Nie! Czy to była wiadomość od rodziny? — Urzędowa wiadomość, oficjalna — odpowiedział Bradley. — Od rodziny niestety ani słowa.

Cwojka wiedział, że Bradley miał obydwoje żyjących rodziców, młodszą siostrę i brata w wieku około lat trzynastu.

— Co — zastanowił się — nic? I teraz, kiedy nalożył tak osłabił?

George porwał go za rękę i pchnął przed siebie. Rozpoczął dłuższy wywód opanowanym, z lekka tylko drżącym głosem:

— Jeżeli wszyscy się uratowali — powiedział, — to w porządku. Cpułność nad nimi czuwała, i jestem szczęśliwy. Jeżeli zginął ktoś z rodziny albo Steve i Ellen obydwoje, będę musiał zastąpić Williamowi i Kathy wszystkie dzieci. Jeżeli nie żyją rodzice, a zwłaszcza dotyczy to Williama, powrócę na wyspę jako jedyny żywiciel i opiekun. Jeżeli zginęli wszyscy... to byłoby okropne (it would be terrible), muszę też za wszelką cenę powrócić, ożenić się, założyć rodzinę...

Antoni spojrzał na niego rozszereżonymi oczyma i zrozumiał teraz naprawdę, dlaczego Anglicy musieli wygrać kampanię afrykańską i będą wygrywać wszystkie następne, byle im dać czas do zastanowienia.

— Oh, George, I beg your pardon — rzucił mu się na pierś i objął nieczgrabnie. Także dlatego, że o swoich bliskich już nic nie wiedział, tak, od dwóch lat. Przepraszał zaś, że śmie i narzuca się ze swoim współczuciem.

George odwzajemnił mu się jak na Anglika serdecznym, dwusekundowym uściskiem i potem rozłączeni podjęli na nowo swój marsz wyciągnięty krokiem przed siebie, choć nie było tam nic, nic — do czego można byłoby dojść — pustynia.

(Dokończenie nastąpi).

JASZCZUR I LILIANNE

Słońce, małe, kuliste i białe jak roztopiona platyna, toczyło się gdzieś wysoko w górę, niedostępne dla oka bez szkieł ochronnych, i wyciskało na ludzkich czołach znajmiej swojej władzy — tłusty, nieustępujący pot. Kucharz obozowy zanotował większe spożycie soli, a wozy do Kirkuku jeździły gęsto po gorzkie piwo, wody selcerskie i amerykańską czekoladę.

Z Cwojki dworowano sobie na potęgę. On, podobnie jak dawniej Bańka, chciał zawsze wymyśleć dłuższy kurs — do Bagdadu oczywiście, znajdował tam najlepsze źródła zakupów, a zanzadze miał pełne argumentów dla poparcia i obrony swojej marszruty. Wyrozumiął kapitan Chciejko ustępował przeważnie, ale nie mógł przecież napelnić kapralowi kieszeni. Antoni, pozbawiony zdolności handlowych swego rywala do wyjazdów — plutonowego Bańki zadłużył swój zółd na czekoladki i perfumy dla Lilianny na trzy miesiące naprzód.

Nie były to niestety jedyne jego kłopoty. Antoniemu nie udało się jakoś pogodzić ze sobą swoich przyjaciół, jaszczura i panny Cochinet. Przy którymś z rzędu wyjeżdźcie,

czur, głuchy na jego słowa, wspina się i spada ze stopnia samochodu. Musiał patrzeć w bok zawołać na Sterna: — Józek, przytrzymaj go. — Największą krzywdę wyrządza się wiernym a nierozumnym.

Czas upływał bez śladu, bez znaku w historii poza usilną zaprawą do wojny. Ale manewry jak manewry — mogą się wydawać celem samym dla siebie. Kompania saperska budowała już mosty nad Małym Zabem tak sprawnie, jak maszyniści teatralni dekoracja, a czołgi oddziałów pancernych grzmiały w rejonie Kirkuk, jeżdżąc i strzelając do upatrzonych kurhanów, jak gdyby ich raidy były szukaniem nieprzyjaciela, a nie przysłowiowego wiatru w polu.

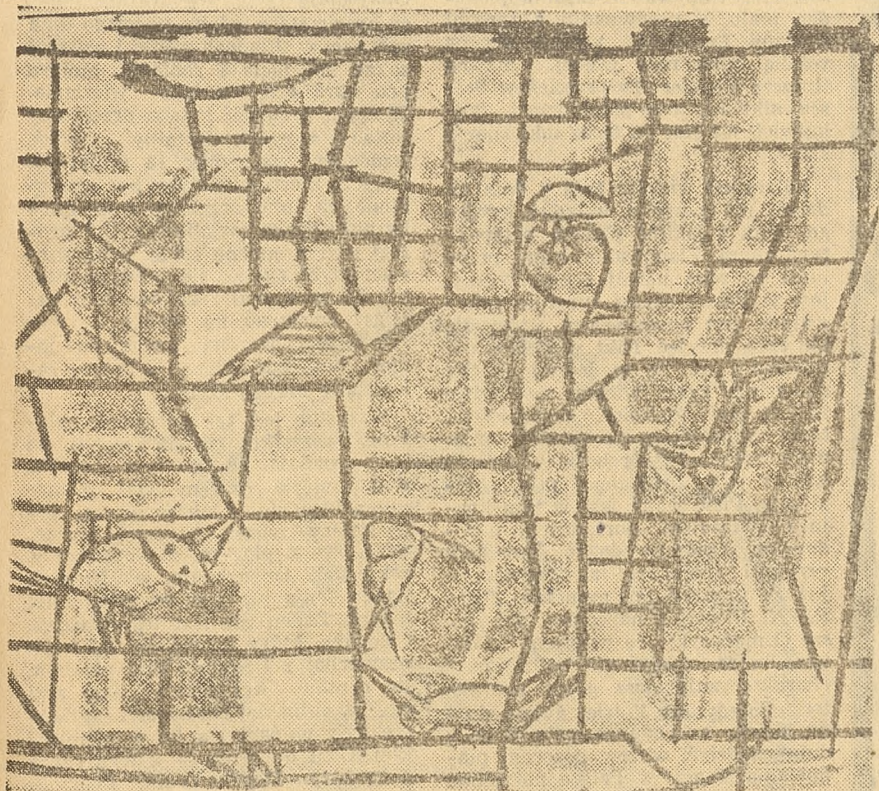
Wciąż ciekawsze było życie wewnętrzne obozu, drobne, śmieszne czasem zdarzenia, podawane z ust do ust i obiegające obóz od krawca do krawca, jakby nad Zabem przysiadło nie wojsko, ale szwadron bab i plotkarzy. Mulczyk na przykład znowu stał się bohaterem przygody i ubawił sobą cały batalion.

Z Mulczykiem w ogóle było skaranie boskie. Nie dość, że głupi i psuj, przez którego

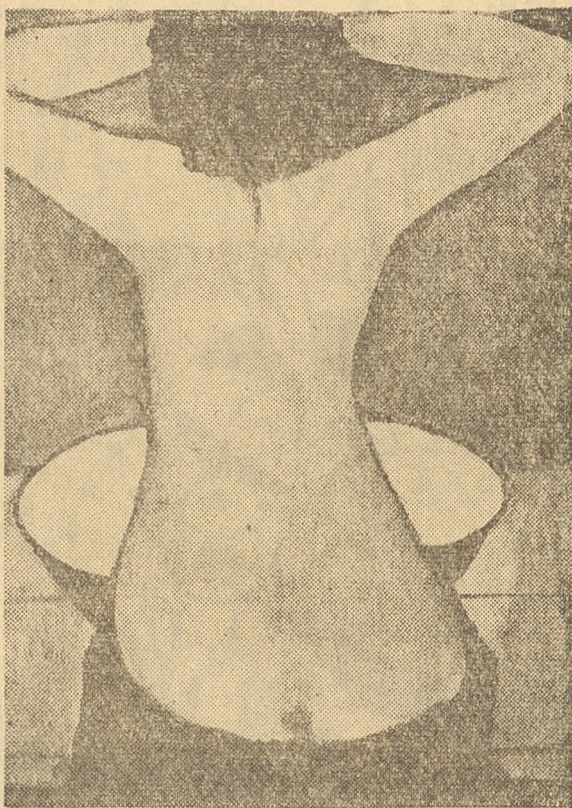
okazała się silniejsza od potu Mulczyka i jak utyskiwano — wszyscy teraz mieszkają w aptece.

Pewnego razu nad ranem po pijaństwie dnia poprzedniego obudził się ze smoczym pragnieniem i sięgnąwszy na ślepo ręką po kubek z wodą, zaaplikował sobie — jeszcze ze snu nieprzytomny — ćwierć słoja formaliny. Potem z wrzaskiem — mordercy! — wyskoczył z łóżka i charcząc i plując i wy-machując rękami, pobiegł do izby chorych. Nic mu się złego nie stało, żołądek przepłukano, a po południu tegoż dnia już sam zaczął całą sprawę obracać w żart. A jeszcze później liczył dni, tryumfujący: jeden, dwa, pięć, tydzień, dwa tygodnie. — Nie pocę się koledzy, jak kocham Boga żywego, nie pocę się! — Po trzech tygodniach jednak trzeba było z powrotem przejść z doustnego na zewnętrzne użycie formaliny.

Daszek z sykomyry, podobnie jak jesienią, oddawał Antoniemu w chwilach odpoczynku nieocenione usługi, a wyjazdy do George'a Bradley'a na szachy tak już od miesięcy weszły w zwyczaj, że się ich wcale nie zauważało.



ADAM MARCZYŃSKI. Klatka.
Monotypia barwna 1956



STANISŁAW WAŁACH. Portret P. Lao.
Rysunek tuszem

JERZY NOWOSIELSKI. Toaleta. 1954

„Zdarzenia“ zapowiadają wielki jarmark grafiki krakowskiej, który odbędzie się w okresie „Dni Krakowa“. Załączone grafiki burzą zakorzeniony u nas pogląd, że grafiką zajmują się tylko profesjonaliści.

Na całym świecie robią to głównie malarze. Czy Picasso należy do sekcji grafiki? Może należałoby zmienić terminologię? A w ogóle zburzyć sekcję. Sztuka to nie sport.

T. Kantor

ABC SZTUKI NOWOCZESNEJ

Adam Kotula
Piotr Krakowski

5)

GRUPA „DIE BRÜCKE“

została założona w 1905 r. w Dreźnie przez Heckela, Kirchnera i Schmidt-Rottluffa, którzy studiowali tam architekturę. W roku 1906 przyłączyli się do nich na krótko Nolde oraz Max Pechstein. Z czasem większość artystów przeniosła się do Berlina gdzie Pechstein założył w 1910 r. „Neue Secession“, której członkowie, rekrutujący się w znacznym stopniu z grupy Die Brücke, urządzili w galerii Machta „Wystawę Artystów odrzuconych przez Secesję Berlińską“ (m. in. prace Noldego). W okresie berlińskim nastąpiło znaczne rozluźnienie grupy Die Brücke, która ostatecznie przestała istnieć w 1913 r.

Punktem wyjścia tych artystów był impresjonizm — pod wpływem jednakże Muncha i Van Gogha oraz fowistów z jednej strony a muzealnych zbiorów egzotycznej sztuki Afryki i Polinezji z drugiej, zaczęli ewoluować w kierunku ekspresjonizmu. „Jednym z celów Die Brücke, jak wskazuje sama nazwa, jest raczenie pomostu dla wszystkich elementów rewolucyjnych i buntowniczych“, pisali do Noldego. W okresie drezdeńskim malowali razem w jednej pracowni, wspólnie dyskutując i eksperymentując, by znaleźć nowe środki wyrazu. Uprawiali malarstwo, drzeworyt, litografię, akwafortę, rzeźbę w drzewie, druk na materiale itp. Ich twórczość cechował skrajny indywidualizm. „Sztuka artysty musi być jego własną sztuką — pisał w swojej autobiografii Nolde — To, czego się artysta uczy, nie znaczy wiele. To, co sam odkrywa, ma dla niego rzeczywistą wartość i daje mu konieczną podniecie do pracy. Gdy artysta wyzwała w sobie taką twórczą aktywność, nie ma już żadnych trudności ani problemów zewnętrznych czy wewnętrznych do rozwiązania... Zdolność uczenia się nigdy nie była oznaką geniuszu“.

Pokrewne ideowo grupie Die Brücke grono artystów, których twórczość cechuje nieustępliwy realizm, przeradzający się w epatującą cynizm i pesymizm karykaturę wyrosła na podłożu coraz bardziej zastraszających się w Niemczech konfliktów społecznych. Malarstwo to, określane terminem „die neue Sachlichkeit“ (nowa rzeczowość), stanowiło również protest przeciw następstwu I wojny światowej. Wylizyć tutaj przede wszystkim należy Maxa Beckmanna, Otto Dix'a, Georga Grosza. W przeciwieństwie do przeżności i wybujałych nadziei pierwszej fazy ekspresjonizmu, „neue Sachlichkeit“ cechował pesymizm i rezygnacja. Dlatego też zaznacza się tutaj odejście od interpretacji podmiotowej i ponowne próby ujęcia rzeczywistości w sposób obiektywny i konkretny.

KARL SCHMIDT-ROTTLUFF.

Kobieta z rozpuszczonymi włosami 1913 r.

OTTO DIX.

Alfons i prostytutki.
1922 r.

MAX PECHSTEIN.

Kobiety w kąpiel.



Wszystkie cywilizacje rodzą się z dorabiania. Z dorobkiewiczostwa — jak by mógł powiedzieć aktywista. Mam na myśli dorabianie się całych krajów, dorabianie się pojedynczych obywateli. Dorabianie się jest funkcją typową dla społeczeństw ustabilizowanych, mających głęboką wiarę w przyszłość. W Polsce wojennej samo to słowo zostało wyklęte i wypędzone ze słownika. „Dorobkiewicz“ to niemal obraza. Tymczasem „dorobkiewicz“ tworzą dobrobyt swoich krajów. Proszę się nie denerwować, zaraz wyjaśnię wszystkie subtelności mojego rozumowania:

Po wojnie, w pierwszych dniach, kiedy jeszcze Niemcy przeżywali swoją wielką klęskę w sposób widoczny, zdobyłem z rozprutej kasy pancernej w rowie przydrożnym — kilkadziesiąt tysięcy marek niemieckich, w których wartość nikt wtedy nie wierzył. Jednakże po paru tygodniach, gdy piecyk w baraku nieraz rozgorzał, podpalany tymi markami — okazało się, że nowe władze postanowiły utrzymać na razie starą niemiecką markę. Nie bolałem jednak specjalnie, ponieważ zostało mi i tak jeszcze z pół worka tych papierków. Wybrałem się więc z teczką wyładowaną markami do wsi — aby kupić jarzyn i owoców (był sierpień 1945 roku) Niemcy chętnie sprzedawali. Gdy przyszło do płacenia zapytałem „wie viel?“ za ten plecak gruszek i agrestu? Niemka powiedziała: „zwei Mark“. Uśmiełem się serdecznie i wsunąłem jej w zdumione ręce paczkę dziesięciomarkówek. Była przerażona. Myślała że kpię, że mi się w głowie pokręciło. Ale gdy się przekonała, że nie, że daję jej to naprawdę — popłakała się i pobiegła do swego „mama“, żeby mu powiedzieć, jakie to hojne przyszło Polaczysko. Stary wybiegł i kapeluszem zamiatął przede mną ścieżkę...

EKONOMIA STRACENCÓW

Po cóż to opowiadać? Ano po to, by i sobie samemu przypomnieć, że jestem Polakiem, i że naród mój obdarzył mnie wszystkimi wadami, jakie sam posiada i pielęgnuje od tysiąclecia. To przecież tylko Polska posiada cwo znamienite przysłowie „zastaw się a postaw się“, to przecież tylko w Polsce, w najcięższych latach wyprawiało się takie bale i przyjęcia, że bogatym zagranicznikiem oko biegało. To przecież w Polsce, której obywatele zarabiają bardzo mało w porównaniu z innymi krajami Europy — wydaje się na wódkę kilka razy więcej, niż na tłuszcz i cukier. To przecież w Polsce nikt nie ufa pieniądzwowi, jakkolwiek nie jest on teraz taki znowu słaby.

Polacy od wieków żyją z dnia na dzień, nie potrafią układać swojego życia z jakimś planem perspektywnym. Planowanie, które przyniósł ze sobą ustrój socjalistyczny, jest w Polsce czymś zupełnie rakowatym, jest nowotworem, który się nie chce przyjąć. Nikt w Polsce nie udowodni mi, że w jednej choćby dziedzinie życia wiemy, co będzie za lat pięć, dziesięć, dwadzieścia. Mało zarabiający robotnicy piją, dużo zarabiający robotnicy jeszcze więcej piją. Inteligenci piją, chłopcy piją. Picie wody jest w tym kraju obowiązkiem, obrzędkiem narodowym, którego dobre spełnianie przynosi splendor, jak zauważono już w poprzednim numerze ZDARZEN. Piosenka narodowa, jak pisze Omańczyk: „co wypijem, to dla nas, bo za sto lat nie będzie nas“ — charakteryzuje nasz głupi charakter. Pojedynczy ludzie żyją z dnia na dzień, gospodarka cała żyje z dnia na dzień, wbrew pozorom planowania. Plany w Polsce potrzebne są po to, by było według czego obliczać, ile wykonano procent na premie. Plany, wiem o tym znakomicie i kiedyś służyłem dowodami, naciągało się właśnie dla premii, zaniżając park maszynowy, zaniedbując pracę instytucji doświadczalnych, których działalność przynosi owoce zbyt powoli. Mogłoby tu sypnąć przykładami, jak się to dzieje w portach, w stoczniach polskich, w przemyśle samochodowym, ale są to rac-

OBYCZAJE

czy nazbyt denerwujące, żeby o nich mówić. Żyjemy jak Zulusy, aby do wiosny. Dziarscy ideolodzy ze szczybla, kiedy im powiedzieć, że źle jest w naszej Polsce, naburmuszają wargi i mówią: a jednak się porusza! Cdyby tak było źle, jak mówicie, to by się wszystko zawaliło. No, pewnie, poczekajmy, może się zawali. A jak się nie zawali, to już nie trzeba myśleć perspektywnie? To już wystarczy wypinać dumnie pierś, że robimy dziesięciotysięczniki, a na badanie możliwości obniżania ich ciężaru własnego to już możemy położyć kłapę. Szczycimy się, dostajemy zadyszki na wiadomość, że szkolny samolotik Bies zdobył rekord świata, gdy nasze linie lotnicze cywilne są chyba „najofiarniejsze na świecie, bowiem sprzęt — itd. Zaraz mi ktoś powie: jesteśmy biedni. Anglik zaś mawia: nie jestem taki bogaty, żebym sobie sprawiał zle rzeczy. I ma rację. A myśmy sobie sprawili wiele rzeczy bardzo złych, mimo iż nie jesteśmy bogaci. Wylizywać? Po co. Mówię o tym nie dlatego, żeby wywlekać stare sprawy, tylko żeby zwrócić uwagę moim rodakom, że ich osobisty styl życia powiększa tylko biedę tego kraju. Nam wystarczy jedno portki, dwie koszule, buty na święto — i już mamy wszystko. Wszystko zaś, co zbywa — przepływa przez gardło. Omańczyk twierdzi, że Polacy przepiją rocznie ponad trzyście miliardów złotych, czyli że dziennie

około trzydzieści pięć milionów złotych. Włos siwieje!

Jedni mówią, że Polacy chłają, ponieważ nie ma co z pieniędzmi robić. Towarów brak — co kupować? Druzdy zaś, że to jest nieprawda, że gdyby uruchomić te potężne finanse — można by w ciągu dwu lat wybudować domy dla wszystkich bezdomnych i złe mieszkających i dać pracę wszystkim bezrobotnym. Oba mają rację. Wyobraźmy sobie, co by się stało, gdyby pewnego dnia zabrakło w sklepach wódki i wyszedł zakaz jej picia i robienia bimbru pod karą dożywotniego więzienia. W ciągu paru dni Polska przeżyłaby inflację a rynek dostałby kręka. Rzucenie na rynek 13 miliardów złotych, które musiałyby być zamienione na inne artykuły zniszczyłyby gospodarkę socjalistyczną. Z drugiej strony można sobie poutopizować: gdyby znalazł się w Polsce ktoś, kto by przekonał rodaków, żeby zamiast wydawać na wódkę — wysyłali przeznaczoną kwotę na jakieś konto budowlane — Polska zakwitłaby bardzo szybko.

Wszystko jest tak potwornie splecione, wszystko tak się ząbaja, że ręce opadają. A na tym pustkowiu wlezie czasem jakiś pismaczyna-idealista i marzy o tym, żeby Polacy zaczęli nareszcie oszczędzać, żyć z planem, z ołówkiem w ręku. Jak Amerykanie, jak Niemcy. Żaden fenig nie jest lekceważony. Człowiek, który trzydzieści lat temu przyjechał z USA, do dziś pamięta, ile centów kosztowała „ham and egg“ w chińskiej restauracji (najtańsze były chińskie) a ile w niemieckiej. Cent do centa — z tego rosną dobrobyty. Dopóki nam, Polakom będzie towarzyszyć to cudne słówko „naplewać“ — pozostaniemy mało szanowanymi przez inne narody szmaciarzami, pijakami, bałaganiarzami nie wartymi by im pomagać, by z nimi handlować. Kiedy indziej napiszę, ile się od nas odwróciło światowych firm handlowych — właśnie za te piękne narodowe cechy.

BOHDAN DROZDOWSKI

Co myślę o wyjazdach za granicę

W licznie napływających listach od naszych czytelników oraz w rozmowach telefonicznych pojawiają się często pytania i odpowiedzi na najbardziej aktualne tematy. W ten sposób czytelnicy biorą udział w ankiecie, która powstaje samorzut-

nie. Postanowiliśmy publikować grupę takich odpowiedzi w miarę jak się zbierze pewna ich ilość. Ostatnio w kilku listach Czytelnicy wypowiedzieli się samorzutnie na temat wyjazdów za granicę. Oto kilka najbardziej ciekawych.

Otylia Robaczyńska, studentka, Gliwice. Za granicę winna wyjeżdżać przede wszystkim młodzież, grupowo, pod kierunkiem profesorów i z wyznaczonym wyraźnie planem. Głównie powinno się wysyłać przyszłych techników, chemików, inżynierów. Ten wkład państwa opłaci się stokrotnie.

Z. D. Warszawa, dziennikarz (rozmowa telefoniczna z redakcją „Zdarzeń”). „Wróciłem ostatnio ze Szwajcarii po trzech tygodniach pobytu. Wyda się to może nieprawdopodobne ale już po pierwszych kilku dniach pobytu czułem się nieszczęśliwy. Marzyłem o tym, by jak najszybciej powrócić do kraju. Pod koniec trzeciego tygodnia byłem niepocieszony że już muszę wracać. Po przybyciu do kraju musiałem się aklimatyzować kulturalnie. Między nami i nimi przepaść. Podam tylko jeden przykład. Rozmowy między-miastowe można zamówić w tak prosty sposób, że nasze kłopoty w takim wypadku wydają się nieprawdopodobne.

Jarosław Pączek, emerytowany urzędnik, Kraków. Czytam niemal każdą korespondencję z zagranicznych wojaży i bywam na odczytach. Wyciągam jeden wniosek: takie zbiorowe wyjazdy są bardzo męczące a minimalne kieszonkowe, jakie otrzymują wyjeżdżający, musi chyba obryzdyć taką wyjazd. Jeśli nie można np. napić się jakiegos orzeźwiającego płynu podczas upałów w dowolnej ilości, to zmniejsza o 50 procent całą przyjemność. Ale mimo to wybrałbym się, gdyby mnie stać na to było.

Jalu Kurek, literat, Kraków. (Rozmowa przypadkowa, nie autoryzowana, z redaktorem „Zdarzeń”). Ostatnio wrócił z Włoch. Jedzi tylko w pojedynkę, nie uznaje wyjazdów grupowych. Pragnie przebiec na grunt krakowski doświadczania włoskie w zakresie ruchu automobilowego: auta winny par-

kować na placach (na samym Placu Szczepańskim zmieściłoby się ich z 200) w bramach domów. Ze swymi postulatami wystąpi w Radzie Narodowej. Opowiadał z entuzjazmem, jak to nie ludzie przesmykują się między autami lecz auta między ludźmi. Białe pasy szerokości ok. 1,5 do 2 metrów są wysypkami między morzem aut, na których przechodnie mogą się zatrzymać, by znów zanurzyć się w strumieniu. Jalu Kurek, jak widać, pragnie realizować swe doświadczenia i obserwacje w Krakowie.

Kazimierz Sączek, Żywiec. Jak najwięcej wyjazdów za granicę ale rozsądnych. Wysyłałbym po kolei przedstawicieli różnych zawodów, aby tam przekonał się o naszym zacofaniu. Gdyby tak wysłać grupę kelnerów lub sprzedawczyń naszego handlu. Może ich spostrzeżenia przekazać swym kolegom i koleżankom po fachu zmieniłyby coś na korzyść w naszych stosunkach. Tymi „drobnymi” sprawami nikt się nie interesuje.

Podaliśmy pierwsze głosy. Jeśli Czytelnicy pragną się na ten temat wypowiedzieć jeszcze, chętnie opublikujemy dalsze wypowiedzi. Takich tematów absorbujących szeroką opinię jest wiele. Nie podsuwamy gotowych pytań, czekamy na inicjatywę Czytelników.

W NASTĘPNYM
NUMERZE
WYNIKI
PLEBISCYTU
FILMOWEGO

Odpowiedzi redakcji

Stefan Czejkowski, Przemyśl, Konińskiego 6. Z nadesłanych pomysłów drukujemy tylko jeden, bardziej konkretny, inne nie życiowe. A propos chleba gdy był tani, karmiono nim bydło i często go brakowało.

Leon Kasprowicz, Kalisz, Kościuszki 9/2. Nasze czasopismo rozprowadza „Ruch”. Należy u kioskarza domagać się, by sprowadzał odpowiednią ilość.

Eugeniusz Machura, Poręba i k. Zawiercie, ul. Wyzwolenia 79. Niestety, pierwszego numeru „Zdarzeń” już nie posiadamy. Proszę próbować zamówić przez kioskarza w Krakowie w Ruchu.

„Malarzka”, ul. Długa 28, Kraków. Choroba serca wymaga poważnego leczenia. Nie odważylibyśmy się podawać jakichś rad. Tutaj trzeba diagnozy specjalisty. Na tematy chorób sercowych rozpisuje się wiele czasopism.

Józef Miarka, Szczecin. Każdy początek trudny, mamy jednak nadzieję uzyskania lepszego papieru.

Paweł Krzak, Lublin. Powieść o Mazurkiewiczu nie jest oparta na fantazji. Maluje ona środowisko spekulantów, dorobkiewiczów, karciarzy. Wątpimy czy autor zechciałby dzielić się metodami pracy.

M. Rączka, Maków Podhalański. „Zdarzenia” są kolportowane na całą Polskę. Radzimy po przyjeździe na miejsce czasów zamówić w kiosku „Ruchu” lub próbować zaabonować przez pocztę.

Bolesław Kurowski, Kraków, Słowackiego nr. 58. Pańskie uwagi w sprawie rezolucji CRZZ są całkowicie słuszne. Rezolucja jednak może tylko postulować wydanie aktu państwowego, nie może być wprowadzona w życie.

Jan Sienkiewicz, Kraków, Olśzańska 8. Temat ten już poruszaliśmy, więc na razie nie powróćmy do niego. Artykuł stanowczo za długi, nie może być większy od 2-3 kartek maszynopisu.

Historia gry liczbowej

Dzieje gry liczbowej są ściśle związane z historią loterii, którą znali już Hebrajczycy i Egipcjanie. Rzymian uważa się za wynalazców tej gry, będącej w owym czasie raczej rozrywką — zabawą, a nie hazardową, pieniężną imprezą. W czasie słynnych Saturnaliów w Rzymie odbywała się zabawa nie mająca żadnych cech dzisiejszej loterii. Polegała ona na tym, że niektórym osobom rozdawano darmowo bilety, wygrywane następnie różne fanty. Ciągnienie loterii w Rzymie urządzano zazwyczaj przed uctwą; był to tylko dowcipny sposób rozdawania podarunków osobom wybranym. W ten zręczny sposób unikano dawania prezentów bezpośrednio.

Po igrzyskach w cyrku rozrzucono wśród obecnych tabliczek z wypisanymi na nich podarunkami, które obdarowani potem odbierali. Festywny Augustus kończył się grą przypominającą loterię liczbową, ale wygrane te składały się z bagatelek, nie przedstawiających większej wartości. Neron w okresie swiat urządzanych na intencję „wieczności państwa” — ustanawiał loterię dla ludu polegającą na tym, że codziennie w tym okresie ciągnięto tysiąc biletów. Wśród biorących udział tylko jeden los uszczęśliwiał posiadacza na całe życie. Imperatorzy Neron i Domicjan usankcjonowali loterię i rozbudziła w masach namiętność do tej gry. Natomiast rozpustny cesarz Heliogabal zmodyfikował loterię, wprowadzając do niej pierwiastki „dzielnictwa” i „śmieszności”. Połowa wyznaczonych losów wygrywała rzeczy użyteczne, pozostałe — nieodroczone i śmieszne. Gdy jeden z nich wygrał np. sześć ślicznych niewolnic, drugiemu przypadło 6 much; następnemu znowu wylosował złote naczynie, a kolejnym z rzędu szczęśliwiec — skorupę.

Również w średniowieczu książęta urządzali loterie, każąc swoim

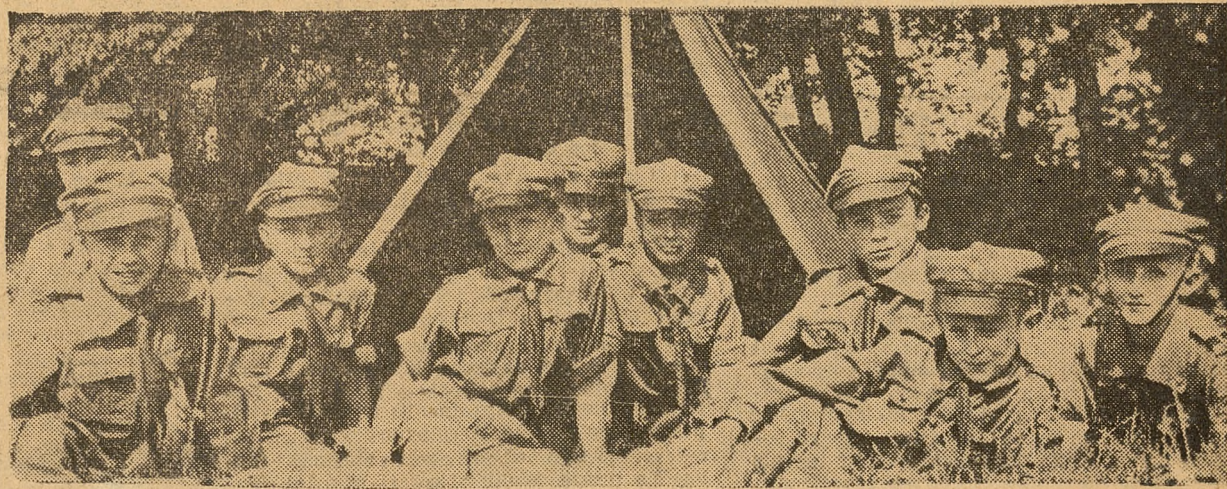
dworzanom wyciągać z urny bilety na różne podarunki. We Francji w 1865 roku Ludwik XIV w podróży do swego wiejskiego pałacyku i parku w Marly (miasteczko nad Sekwaną w odległości mili od Wersalu) urządził loterię dla wszystkich osób towarzyszących mu w podróży, by drogą losowania rozdać najkosztowniejsze prezenty fabrykowane przez paryski przemysł.

Jeśli zabawy Rzymian nie były w niczym podobne do naszej loterii, gdyż losów się nie kupowało, o loterię średniowieczną zdecydowanie zmienia swój charakter. We Włoszech organizowali loterie kupcy, a wylosowywano różne towary. Ten typ loterii odnajdujemy również w Niemczech, a następnie we Francji, gdzie Franciszek I chętnie udzielał zezwoleń w r. 1539, zastrzegając pewną opłatę dla skarbu państwa. Tam otrzymała ona nazwę blanque od wyrazu włoskiego bianca (biały) z tej przyczyny, że największą ilość losów była pusta (carta bianca) był to rodzaj tzw. loterii klasycznej (ogólnie zwana „loterią holenderską”), która faktycznie powstała około r. 1530 we Florencji. Służyła ona początkowo celom dobroczynnym i rozwinęła się dopiero w Holandii z pewnymi modyfikacjami.

W loterii klasycznej liczba i wielkość stawek czyli losów (mogli być cały los, połówka, ćwiartka itd.), oraz ilość i wielkość wygranych, z góry były zaplanowane. Natomiast los rozstrzygał czy i jaka wygrana miała przypaść na pojedyncze stawki. Normalnie ciągnięcie wszystkich losów rozkładano na kilka klas (obecnie rzuty) i w tym wypadku gracz uiszczał należność za swój los ratami przed każdym ciągnięciem (klasą) w oznaczonym terminie.

c.d.n.
K. GILEWICZ

Prosimy o listy z wakacji



Czystka ex - sportowa

WYŚCIGI NIE POKOJU

Dawno już wymyślił ktoś powiedzenie, że doświadczenia uczą.

W ostatnich latach, kiedy poziom naszego życia był raczej mizerny, zakwitła w architekturze na mocy „niech zakwitają ty l i k o dwa kwiaty” — monumentalność i fasadowość. MDM-y mnożyły się nie tylko w wydaniu warszawskim. Pałace kultury pozwalały zwiedzającym je masom podnosić stopy... na marmurowych schodach tych pomników, które zaspokajały wzrost potrzeb społeczeństwa. Jednocześnie w całym kraju powstawały giganty-stadiony sportowe, gdzie kibice w setkach tysięcy podziwialiby przebieg rodzimej kultury fizycznej. Stadiony były zrzędną kopią MDM-ów i pałaców kultury. To pięknie. Tylko od samego początku zarysowało się maleńkie „ale”...

W zapale budowania, przy kolektywnych naradach i poprawkach do istniejących projektów, ba — nie szczedząc trudu na męczące podróże do Włoch i innych krajów południowych, dokąd jeździły tuzy GKKF — zapomniano o jednej, zresztą drobnej sprawie. O miejscu, jakie wyznaczyło Polsce jej g e o g r a f i c z n e położenie...

Wspaniałe wizerunki stadionów włoskich powodowały nieustanny pęd służbowych wyjazdów różnych vice-przewodniczących i prawie j m równych w hierarchii sportowej urzędników naczelnej komórki wychowania fizycznego. Ci esteci przekazywali z kolei swoje zachwyty i pomysły architektom, co w rezultacie upstrzyło krajobraz nadwiślań-

ski amfiteatrami i kolumnami, godnymi starogreckich igrzysk olimpijskich.

Dawniej największe kluby sportowe dysponowały boiskami z podziałem na trybuny i miejsca stojące. Ale dawniej nie było demokracji. Ten podział, jako wyraznie antagonistyczny, zniesiono z dumnym wołaniem: wszyscy są równi! W efekcie otrzymaliśmy obiekty sportowe, gdzie trybuny ciągną się wokół całego boiska. Widok zaiste — śliczny. Oczywiście, w słońcu...

Niestety, nasz klimat należy do najbardziej kapryśnych. Pozbawiona dachu widownia, moknie niemilostliwie podczas częstych deszczów. Lub, po prostu — w razie niepogody — monumentalne stadiony świecą pustką.

Dawniej, w maju panowała idealna pogoda. Toteż Wyścigi Pokoju ilustrowały zdjęcia uśmiechniętych kolarzy, skapanych w słońcu. Czasem przeleciał ciepły deszczyk i to wszystko. Od kilku lat maj staje się coraz chłodniejszy. W tym roku trzeba było jeszcze nieraz palić w piecach. Ludzie kostnieli w mieszkaniach, a co tu mówić o zawodnikach na powietrzu...

Był taki dzień, gdy kolarze jechali wśród zawiłej śnieżnej, na szosie śnieg dochodził do wysokości metra, lodowate zimno usztywniało mięśnie nóg i rąk. Sportowcy, mimo że okutani w ciepłe dresy, szczekali zębami, mnożyły się przeziębienia, zawodnicy po ukończeniu etapu nie mogli mówić z zimna...

Wyścig Pokoju jest olbrzymią manifestacją sportową. Manifestacją sprawności fizycznej, która służy pokojowi, zbrań-

ni ludzi różnych narodów. Ma na widoku — c z ł o w i e k a. I nie najważniejszy jest fakt, żeby koniecznie wyruszyć na zmaganie z 2 tys. km. trasy zaraz po 1 maja. Klimat dyktuje swoje warunki, trzeba umieć się do nich przystosować.

Kolarze kręcili pedałami, kibice kręcili nosami. Czas, żeby organizatorzy zaczęli kręcić głowami i pomyśleli o wpływie klimatu na imprezy sportowe. Myślenie czasem poplaca!

A propos myślenia: znakomity periodyk „Głos Sportowca” ogłosił w dn. 10 bm, z okazji 700-lecia lokacji Krakowa aż całą kolumnę pod nazwą „Ponad 700 lat Cracovii”. Tamże „Antonius Cracoviensis” rozstrzyga w sposób dowcipny „spór Cracovii i Wisły o dzień ich powstania”, uważając, że o Cracovii „pisano... nawet przed tysiącem lat”.

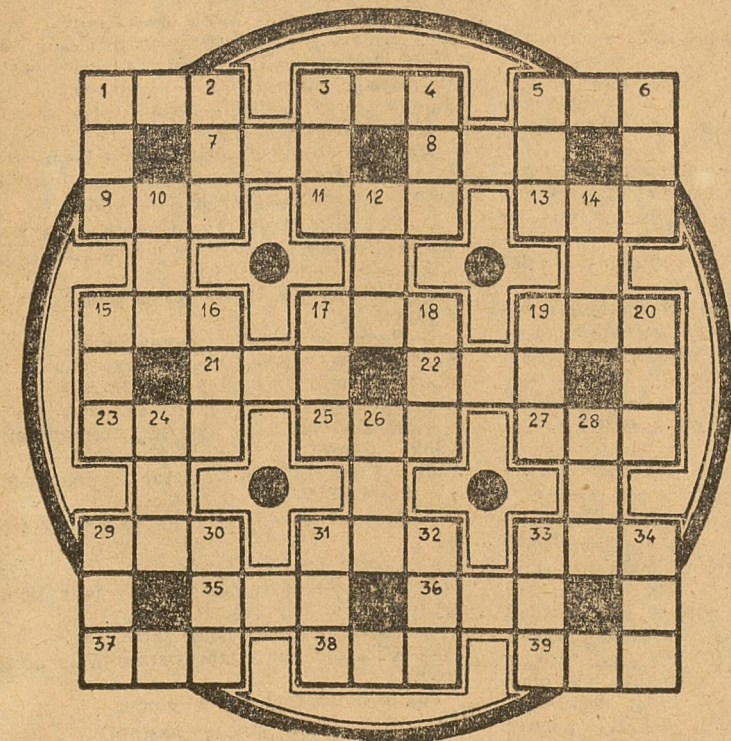
Pozbawieni poczucia humoru kibice Wisły zwrócili się z prośbą o interwencję, co niniejszym czynię. Istotnie, Białoczerwoni korzystają z każdej okazji, żeby odskoczyć od swoich rywali w ilości przeżytych lat. Dawniej (25-lecie) obchodzili w rok po Wisłę, dzisiaj dodali jeszcze 1000 lat. To już jest wielka gra! Skoro jednak chcielibyśmy się włączyć do tej zabawy, zaryzykujemy ze swej strony „przysięgającą” argument. A więc — zanim kroniki wspomniły o Cracovii, już dawno, dawno płynęła sobie tędy Wisła, a dopiero na jej brzegu — po tysiącach lat powstała Cracovia...

Panowie z „Głosu Sportowca”, pozwólcie, by i wiślacy mieli małą satysfakcję...
JERZY BOBER

KRZYŻÓWKA SYLABOWA

Znaczenie wyrazów. Poziomo: 1) może być aneczna, 3) goralski bąrz z Podhala, 5) melina, 7) czytasz je codziennie, 8) gatunek papierosów polskich i radzieckich, 9) mechanizmy do wbijania pali, 11) pomoc, 13) rodzaj powozu, 15) stolica Turcji 17) zbrojna banda, zgraja, 19) miejscowość na Dolnym Śląsku, 21) napędzają milocarnie zamiast silników, 22) częśćka alfabetu, 23) bombardowania, akcje lotnicze, 25) „gospoda” wojskowych, 27) specjalist od chorób, 29) wolne, opróżnione etaty 31) zaliczka, przedpłata, 33) drobniarzy, szczegóły, części całości, 35) służy do wiązania snopów słomy, 36) szyjka, rurka zwężona, 37) posiane zboża, 38) okręt poruszany wiosłami, 39) kobierce.

Pionowo: 1) zadanie rozrywkowe, 2) ucieczka z lekcji szkolnej, 3) poezja dydaktyczna, wysmiewająca wady i usterki, 4) inaczej nabój, 5) ocena wad, braków, niedociągnięć, 6) przedział dla pasażerów statku, 10) zakład produkcyjny, 12) podróżujący dla przyjemności, 14) zapas 15) zapalenie gardła, 16) pociski odrzutowe, 17) siedziba papieża, 18) imię żeńskie, 19) ozdobne paciorki, 20) ludzie waleczni, bohaterzy, 24) nauka o prawidłowościach myślenia, 26) długa podniosła mowa, 28) ozdobne pudełko 29) ręczny kufer podróżny, 30) inaczej: ujednolicony, 31) film prod. polskiej, 32) gruby papier, 33) jest ich trzy w miesiącu, 34) polskie oddziały w armii Napoleona.





TADEUSZ KWIATKOWSKI

NIE MA ZABAWY

bez

PANA WŁADZIA*)



— Mówił mi że ma wyjechać z jakimś facetem za miasto kupować coś czy sprzedac — rzekł Kazio Jagiński. — Chłop musi z czegoś żyć. Wiecie ile on zarabia w tym pezemocie? No, zgadnijcie?

— Dwa złote — strzelił dowcipem Koniecznyński.

— Coś koło tego. Tysiąc sześćset złotych. Przyznał mi się tu kiedyś. Straszne, jakie ci ludzie mają pensje. No, ale panowie czas ucieka. Zdrowie domowników.

— Zdrowie gości — odpowiedział Kamaszowski wznosząc kieliszek do góry.

Pili i jedli, żartując i plotkując o bliznich. Zuza ponaślagała służącą, która truchtem biegła z kuchni do jadalnego znosząc coraz to nowe półmiski. Zariok Goladzki czynił spuszczenie na stole i każdy nowy talerz przyjmował z pomrukiem zadowolenia.

— Coś mi się obilo o uszy — zawołał w pewnej chwili Koniecznyński — że macie kawior. Czyżby mnie słuch zawiódł? — adwokat potoczył zwyciężskim wzrokiem po reszcie gości.

— Co takiego? — zalała ręce kilku panów. — To niemożliwe.

Kamaszowski uderzył się w czoło.

— Zupełnie zapomniałem. Zuziu, co jest z kawiozem?

Kamaszowska uśmiechnęła się zażenowana.

— Ja też zapominałam. Proszę mi wybaczyć. Zaraz przyniosę.

— A pan inżynier jada rosyjski kawior? — spytał z ironią Tolo Zombrzeski. — Czy to jest w zgodzie z pańskim programem politycznym?

Linkowski odpowiedział z pełnymi ustami: — Jeszcze ryb nie zdążyli tam upolitycznić. Może na następnym etapie.

Wnieśli pustą kawioru na srebrnej tacy. Goladzki wciągnął nosem powietrze i zagrzmiął.

— Pachnie jak cholera.

— Co tam pachnie. Pan wiesz jak to działa na potencję? — zaśmiał się Jagiński. — Będziesz pan biegał po dachu za kotką.

— Ajaj, jakie dowcipy — żachnęła się Lilka.

— A co pani bei się konkurencji? — nachylił się Goladzki — zapewniłam panią że kobiety będą miały pierwszeństwo.

— Janku — zawołała Lilka do Kamaszowskiego — chodź tutaj, niech zobaczą przynajmniej jednego dżentelmena.

Madycy zjawili się około dziesiątej. Przywitano ich okrzykami. Kamaszowski zabrał się od razu do Madycyńskiego i zmusił go do wypicia pod rząd kilku podwójnych, aby nadrobił zaległości. Doktor Madycyński lubił pociągnąć i nie bronil się przed natarczywością gospodarza domu. Zonie Madycyńskiego Kasi też nie trzeba było dwa razy powtarzać zaproszenia, tak że nowi goście szybko przystosowali się do całego grona, mocno już podchmielnego.

— A gdzie Władek? — spytała Madycy Zuza, gdy na moment znalazły się same.

— Wyobraź sobie że jeszcze nie przyszedł. Tak mi solennie przyrzekał że nie zawiedzie. Widzisz jak to wszystkim wygląda — dyskretnie pokazała Kasi wrzaskliwie towarzysztwo — gdy on jest wszystko gra inaczej.

— Myślałam, że się z nim dzisiaj zabawię — rzekła zawiedzionym głosem Madycy — tak mało spotyka się dzisiaj interesujących mężczyzn. Z kim tu się bawić?

— No, właśnie — odparła Zuza —

— Słuchaj, czy ten Koniecznyński, to jakiś ciekawy gość?

Zuza skrzywiła się.

— Nudziarz. Zamęcza człowieka starymi kawałkami.

— No, więc pozostaje tylko Goladzki. Bydlak bo bydlak ale przynajmniej inny od tych gagatków skropionych Yardleyem.

— Goladzki szuka teraz nowej ofiarki. Ostatnią zapil na śmierć. Wiesz, tę kurewkę od notariusza.

Kasia przyglądała się Goladzkemu z natręctwem uporem. Zuza uśmiechnęła się i nachyliwszy się do ucha przyjaciółki powiedziała z satysfakcją.

— Wiesz, że on dawniej nazywał się Golas, tylko zmienił nazwisko.

— To ciekawe — odrzekła Kasia, wcale się tym nie deprymując i ruszyła w jego kierunku. Kiedy znalazła się przy stole blisko niego, wzięła kieliszek i zaproponowała.

— Pańskie zdrowie Golas.

Goladzki zatrząsł się ze śmiechu.

— Dawniej byłem Golas a teraz jestem bogacz. Hajm siulim. — wypił całą setkę eksportowej i zaraz pożałował że smakiem kilka kapek, jedną po drugiej.

— To się nazywa apetyt — Koniecznyński wznosił ręce do góry. — Boże, on nas obżera jak stonka.

Wszyscy zaśmiali się z dowcipu, więc Koniecznyński dopowiedział.

— Może ciebie zrzucili Amerykanie, co? Przyznaj się bracie...

— Trzeba go diditi posypać — dorzuciła Maryjka Linkowska.

— Diditi — zawołał Goladzki — dajcie diditi, wpięprzę je na przekasę.

Koniecznyński podszedł do Linkowskiego z dwoma pełnymi kieliszkami.

— Napijmy się.

Linkowski przyjął zaproszenie i odchylając mocno głowę do tyłu opróżnił kieliszek.

— Gdzie jest sławny kawior? —

Adwokat machnął ręką.

— Ten rekin pożarł — pokazał na Goladzkiego — sam ledwie dziabnąłem kilka ziarenek. — odebrał kieliszek Linkowskiemu, postawił je na stole i wrócił.

— Powiada pan, że nitego w polityce.

Linkowski pokiwał głową, że nie na to nie poradzi.

— Ale muszą być przecież jakieś nadzieje na zmiany. Przysięgam się panu, że ja już nie mogę wytrzymać. Owszem, zarabiam nieźle, nie mogę narzekać, ale przysięgam na wszystkie świętości, że wolałbym jeść codziennie suchy chleb, byleby to już raz się zmieniło. Trochę świeżego powietrza, wolności, żeby człowiek wiedział, że jest na świecie.

Linkowski wysłuchiwał adwokata z uprzejmą miną.

— Rozumiem pana. Każdy z nas poświęciłby wiele dla kraju.

Koniecznyński rzucił ukradkowe spojrzenie na pozostałych gości, kotłujących się przy stole i spytał półgłosem.

— A czy to prawda, co opowiada się o Stalinie?

— A co?

— To że jest ciężko chory.

— Tak słyszałem, ale dać głowy za to nie mogę.

Koniecznyński położył rękę na piersi inżyniera.

— Ręczę panu, że gdy Stalin umrze, wszystko się tam zmieni. Przypomni pan sobie moje słowa.

Linkowski uśmiechnął się wyrozumiale.

— Tak twierdzi wielu ludzi.

— A zatem coś w tym jest.

— Zapewne — odrzekł inżynier tonem znawcy i człowieka dobrze poinformowanego. — A jakie jest pańskie zapatrywanie na tę sprawę? Pan siedzi po uszy w polityce i pański pogląd bardzo mnie ciekawi. Ja, wie pan, interesuję się polityką tylko dorywczo. Po prostu nie mam ani odrobiny czasu.

— Ja? Cóż ja. — powiedział skromnie Linkowski — Sądze, że po śmierci Stalina nie nastąpi żaden przewrót w Rosji.

— Ciekawe! — adwokat przyjął ostatnie zdanie Linkowskiego z uczuciem rozczarowania.

Inżynier zadowolony, że swoim oświadczeniem stropił nieco adwokata, złożył ręce za sobą i kilka razy podniósł się na palcach, słukając obcasami o podłogę.

— Po śmierci Stalina, proszę pana, przejmie władzę jego następca. Któż to może być? Pocałujcież na palcach — Melenkow, Beria, Mołotow lub Bułganin. To najbliżsi współpracownicy Stalina. A ci panowie nie zechcą przekreślić tego wszystkiego, co zbudował Stalin. To proste. Stalin stworzył przecież fundamenty władzy absolutnej, z której trzeba korzystać. Ci panowie zechcą mieć taką samą siłę, jaką ma bez wątpienia Stalin, oT nie ulega najmniejszej wątpliwości. A czy pan sądzi inaczej?

Koniecznyński westchnął żałośnie.

— Ma pan rację. Czy ten, czy ten, to to samo.

— Nie, zapewne różnią się między sobą w szczegółach. Nie możemy upraszczać i twierdzić że każdy człowiek w tamtym ustroju ma poglądy dokładnie takie same, co drugi. Ale będą to różnice marginalne. Różnice na przykład na temat sposobu gospodarki rolnej, in. wstępcy budowlanych. Coś takiego. — Linkowski zaczął muskać swój wąsik i uśmiechać się dobroliwie.

— Tak, to też racja, ale niech mi pan powie, który z wymienionych przez pana ewentualnych następców Stalina byłby najlepszy. Oczywiście z naszego punktu widzenia. Ktorego by pan chciał widzieć władcą Kremla?

Linkowski zastanowił się przez chwilę. Potem wykonał niezdecydowany gest, którym chciał wyrazić, że jest mu szalenie trudno udzielić precyzyjnej odpowiedzi.

— Z mojego punktu widzenia, a trochę się znam na tym, najchętniej widziałbym na tym stanowisku Berię.

— Berię? — Koniecznyński zdziwił się naprawdę szczerze.

— Tak, Berię. Ja wiem, że nam kojarzą się z tym nazwiskiem obozy pracy, zyska, wywozy ze Lwowa. Beria jest typowym inteligentem, człowiekiem cywilnym. No, niech pan przyjrzy się tylko fotografiom rządu moskiewskiego. Wszyscy w mundurach, w galii, dumni i obwiezieni orderami a jedynie Beria na każdym zdjęciu stoi ubrany po cywilnemu, zawsze w miękkim kapeluszu, zawsze w tych swoich okularach. To jedyny Europejczyk w tym gronie. Ja stawiam na Berię. Mnie przekonuje, proszę pana, ta jego cywilność. Ba, posunę się nawet dalej. Gdyby



Według GROSZA

Beria został władcą Kremla, nastąpiłby w Rosji pewien przewrót...

— A więc jednak przewrót?

Linkowski uspokoił adwokata ruchem ręki.

— Przewrót, proszę pana, cywilizacyjny. Moim zdaniem Beria poszedłby na europeizację Rosji. Zniósłby tę żelazną kurylnę odcinającą Rosję od Zachodu.

— I pan myśli — zaśmiał się Koniecznyński — że to nie doprowadziłoby do przewrotu w Rosji, do takiego przewrotu, jaki ja mam na myśli? Ależ proszę pana, to co pan mówi obaliliby tam komunizm w bardzo szybkim tempie. Ręczę panu.

Linkowski nie odpowiedział mu, bo podeszła Zuza i zagarnęła ich do reszty towarzystwa.

— Dajcie im wódki, bo umierają z pragnienia.

Koniecznyński zdążył jeszcze powiedzieć inżynierowi.

— W tym względzie nie mogę się zgodzić z penem.

Linkowski wzruszył ramionami.

Tolo przycisnął silniej Jolkę do siebie. Pocałował ją w ucho zanurzając twarz w jej puszystych włosach. Nie protestowała. Tolo czynił to delikatnie i dotknięcie jego warg sprawiło jej przyjemność. Tańczył bez muzyki, powoli przesuwając się po pokoju, ale tak, aby nie byli zbyt widoczni z drugiego pokoju, gdzie odchodziło piąństwo.

— Mam wóz na dole, pojedziesz? — szepnął Zombrzeski.

— Przecież doskonale się bawimy.

— Ale tam będziemy tylko we dwoje, sami. Marzę, aby być z tobą sam na sam.

— Nie wypada.

— Ech, co tam nie wypada. Znasz mnie, że nie robię sobie nic z konwenansów. To ja stwarzam konwenanse.

— Czy w Anglii robiłeś tak samo?

— Miłośnię nie zna pojęć geograficznych ani konwenansowych. — No, Jolka. Wóz czeka. Pognamy przed siebie.

— Chcesz urządzić nocną przejażdżkę? — odchylała się do tyłu w jego ramionach i kokieterystycznie spojrzała mu w oczy.

— Możemy się przejechać. Piękna noc. Noc jakby stworzona dla nas.

— Nie jestem ubrana, zaziębiłabym się...

— Okryj cię, czym będziesz chciała...

— Widzę, że jesteś na wszystko przygotowany.

Wulił znowu głowę w jej włosy.

— Okryję cię pocałunkami.

Zaśmiała się krótko. Tolo przycisnął ją jeszcze mocniej do siebie.

W tej chwili wszyscy posłyszeli krótki, mocny dzwonek w przedpokoju.

— Pewnie Władek — rzekł Zombrzeski i puścił Jolkę, która obciągnęła sukienkę. Zuza wpadła do pokoju, stanęła na sekundę przed lustrem, poprawiła fryzurę i pobięła do przedpokoju.

— Ten chłopak ma szczęście — pokiwał głową Zombrzeski.

Wszyscy byli ciekawi i kiedy Zuza weszła do pokoju z niskim, łysawym i źle ubranym mężczyzną, dało się odczuć ogólne rozczarowanie.

— Pan Żyberski — przedstawiła Zuza nowego gościa. — Nasz przyjaciel. Proszę go, Kasiu, zaimię się panem Jasiem, nałarm go i napój.

— Chodź pan — rzekł Goladzki — rypniemy sobie po banie.

Żyberski chodził po pokojach dokładnie witał się z każdym. Czynił wrażenie zażenowanego dużym towarzystwem. Goladzki objął go w pół i siłą przyciągnął do stołu.

— Nie obsrywaj się pan tymi hopszłosami. Wódę trzeba chlać a nie tam jakieś zawracanie kity.

Żyberski uśmiechnął się zakłopotany nie wiedząc co odpowiedzieć olbrzymiemu Goladzkemu. Przysłała mu z pomocą Kasia.

— Niech się pan nie przeraża naszym chuliganem. Złote serce, tylko chamidło straszne. Prawda, Golasku?

Goladzki nie przejął się tym, siłą wsadził Żyberskiemu w dłoń pełną szklankę wódki i pilnował, aby ten wypił do dna. Nowy gość lknął solidnie, lecz zakrzucił się, oczy mu się zalzały i ledwie łapał dech. Goladzki przeczekał tę chwilę słabości u swej

ofiary i potem wmuśli w niego pozostałą wartość szklanki.

— Teraz wal pan szcypać baby — popchnął go w kierunku Kasi.

— Przepraszam panią, proszę sobie nie przeszkadzać — powiedział Żyberski zatrzymując się przed Madycą. — Ten pan tylko zapewne żartuje.

— Pan go nie zna? — zdziwiła się Kasia.

— Nie miałem dotąd przyjemności — uśmiechnął się Żyberski.

— Nic pan nie stracił — zaśmiała się głośno Madycy.

— No, cóż u pana słychać? — podszedł do nich Koniecznyński — dawno pana nie widziałem.

— Wpadłem dzisiaj do państwa Kamaszowskich, nie wiedząc, że mają gości. Chciałem się wycofać, ale pani Zuza zatrzymała mnie. Nieubranym jestem...

— Niech się pan tym nie przejmuj. Wszyscy swol.

— Znam państwa Linkowskich od dawna...

— Gdzie pan obecnie pracuje?..

— Tam gdzie zawsze — uśmiechnął się Żyberski — w Miejskiej Radzie Narodowej.

Koniecznyński poklepał go po ramieniu.

— Czyli zawsze wierny magistratowi...

— Nie mogę narzekać.

— Ile pan tam zarabia? Przepraszam za to pytanie, ale ciekawy jestem, ile taki magistrat płaci swoim długoletnim, zaśluzonym pracownikom.

— Nie ma tajemnicy. Tysiąc sto złotych.

— I pan z tego żyje?

— Muszę — Żyberski znowu uśmiechnął się poczywie.

— To straszne. I to panu wystarcza?

— Inni zarabiają jeszcze mniej.

Madycy widząc, że jej towarzysze zagadali się, wyszła do jadalnego i skinęła na Zuza. Obydwie znalazły się w pokoju Kamaszowskiej. Kasia usiadła na tapczanie, przeciągnęła się leniwie.

— On już pewnie nie przyjdzie — rzekła bez większego zainteresowania...

Zuza błysnęła złowrogo oczami. Staneła przy oknie i odchylwszy firankę patrzyła na ulicę jasno oświetloną wiszącymi nad jezdnią latarniami.

— Zrobię mu potworną awanturę.

Madycy położyła się a tapczanie z rękami założonymi pod głowę.

— Pewnie złapał jakąś dziwkę i ugania z nią jak szalony.

Kamaszowska prychnęła przez nos i potknęła bez słowa docinek przyjaciółki. Kasia tymczasem ciągnęła dalej:

— Pies na kobiety. Skąd on bierze tyle sił, żeby dać radę temu wszystkiemu? Sama się dziwie. Myślałam, że Maryjka wyciągnęła z niego ostatnie mocy. Ale gdzie tam. Wczoraj widziałam go, jak woził się z jakąś blondyneczką. Może dwadzieścia, może dwadzieścia pięć lat. Prowadził jedną ręką, drugą trzymał na oparciu — Madycy zaśmiała się chichotliwie — Dziewczyna była dumna jakby siedziała obok królewicza. Oj, jakie te kobiety są naiwne.

Kasia usiadła i zwróciła się do Kamaszowskiej — Zuziu, nie przejmuj się. Jutro cię ładnie przeprosi, przyśle ci kwiaty...

— Daj mi spokój — parsknęła Zuza puszczając firankę — po co ja wszystkich zaprosiłam.

— Możemy już iść — Kasia poderwała się z tapczana.

— Siedź — rzekła Kamaszowska — nie chodzi mi o ciebie. Ale te przyjaciela nudzą mnie, nie mnie nie obchodzi. Jeszcze jak on przyjdzie, można się jakoś zabawić. No bo z kim? Z Goladzkim? Z tym przemądrzałym Linkowskim?

Drzwi uchyliły się i zajrzał do pokoju Kazio Jagiński.

— Można? — spytał pchając się do środka.

— Proszę cię, wejdz.

Jagiński objął ramionami obydwie kobiety i powiedział:

— Nareszcie znalazłem szczęście.

— A ja nie znalazłam jeszcze nylonowego paska.

Jagiński uderzył się w piersi.

(Ciąg dalszy nastąpi)

* Nazwiska i osoby prócz postaci W. Mazurkiewicza są całkowicie wymyślone przez autora.